ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 12(37) • Grudzień 2008 • Cena 2,00 zł

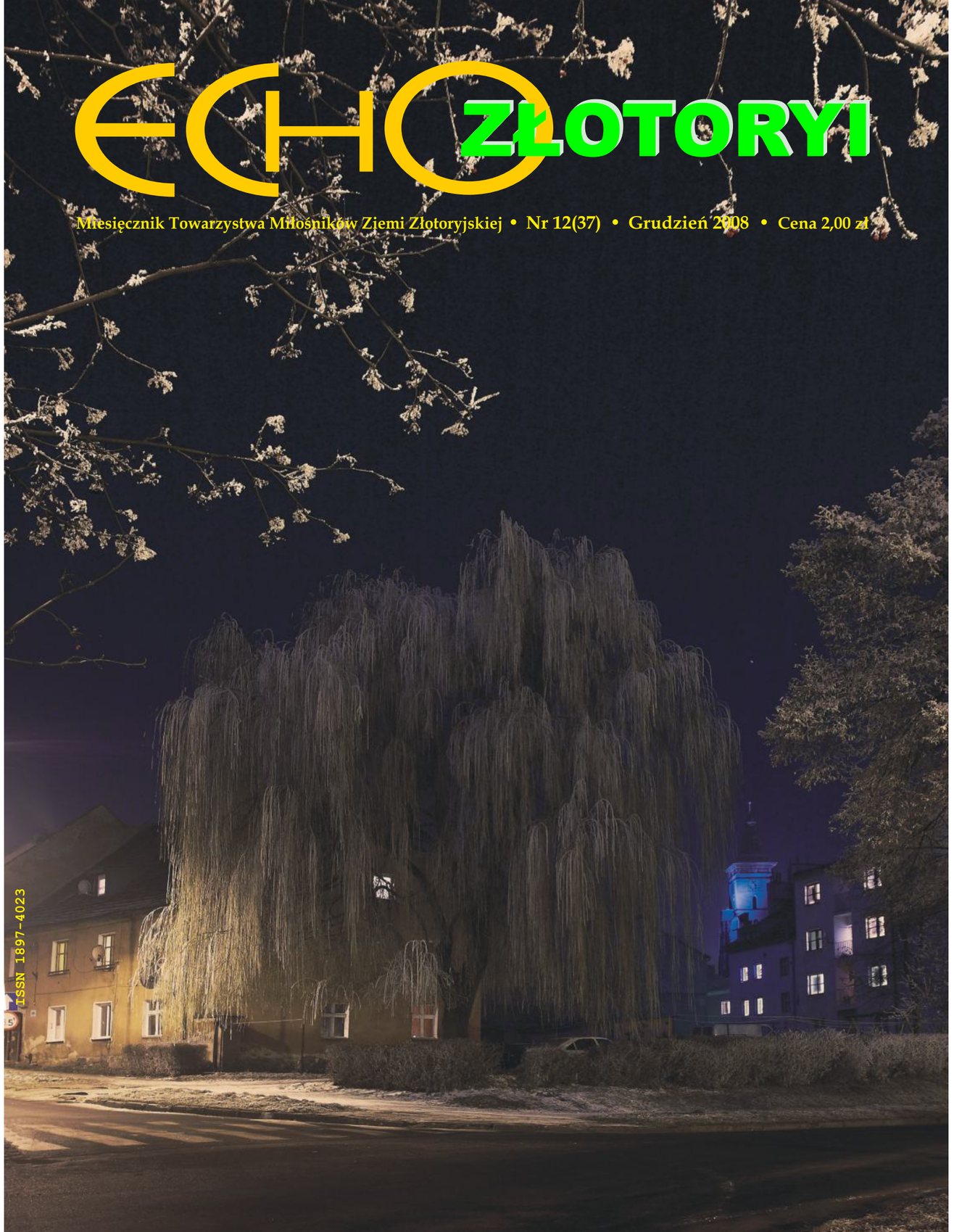

ISSN 1897-4023

Radosnych Świąt Bożego Narodzenia, Kolęd - na cały blok, życzliwości ukochanych, dobrych planów na Nowy Rok, które się ziszczą od niechcenia choć nie same. Duszy pełnej po uszy, Pięknym pannom - zamęścia. a pod choinką - paczek zdrowia, worka dobrego losu, ot - zwykłego szczęścia. Czytelnikom i sponsorom w imieniu TMZZ - Redakcja

★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★ ★

24

Nowe Echo skończyło właśnie dwa lata, wypadałoby więc sobie złożyć gratulacje i życzenia na przyszłość. Sam się sobie dziwię, dziwię się też moim koleżankom i kolegom z zespołu redakcyjnego, że pomimo powszechnego pukania w czoło, które już echem (o prosze!) po okolicy się rozlega, trwamy na posterunku lokalnego, prawie niezależnego medium. No cóż, może to i prawda, że nie wszystkie klepki w głowie mamy na swoim miejscu, bo któż o zdrowych zmysłach, nie tyle za darmo, ale dokładając do tego całego interesu swe skromne dobra materialne, trwałby w takim uporze? Co gorsze, sam występuję w roli diabła, który namawia do złego. I tak koleżankę Janę Kałużę doprowadziłem do niekorzystnego rozporządzenia mieniem w postaci zakupu laptopa i dyktafonu, by zapisywać i utrwalać. Koleżance Agnieszce Młyńczak przeszkadzam ustawicznie w gotowaniu bigosu, miotając ją po okolicy dalszej i bliższej w roli reporterki. Panią Koleżankę Jolę Zarębską przyprawiam o koszmary nocne po ciężkiej korekcie tekstów. Koleżankę Małżonkę Iwonę Pawłowską narażam na epitety koleżeństwa z pracy: „Ty głupia chyba jesteś, że ci się chce pisać, jeszcze chyba głupsza, że ciągniesz za sobą swoich uczniów". Tylko koleżanka Anna Chrzanowska opiera się namowom, by wreszcie sama coś od siebie napisała. Na szczęście jest jeszcze Kolega Roman Gorzkowski, który pisał, pisze i będzie pisać bez względu na to, czy będę go kusił czy nie. Ale wyjątek potwierdza regułę..

Z pewnym przestrachem spoglądam na zapał redakcji, bo jest on niczym wyrok, tym gorszy, że w sądzie przynajmniej skazany po ostatnim słowie sędziego wie, ile mu przyjdzie spędzić w świecie z kraciastą perspektywą. A ja, ile jeszcze będę wpatrywać się w pusty, niezapisany ekran komputera? Niestety Kolega Prezes – Aleksander Borys, poklepuje mnie co miesiąc po ramieniu i choć podejrzewam, że Echa nie czytuje, to twierdzi, że mu się ono podoba. Jest na tyle skuteczny w szerzeniu tego hasła, że wraz z innymi postaciami z zarządu TMZZ wychadza po naszych sponsorach datki na publikację kolejnych numerów. Cóż więc począć? Chyba trzeba zacisnąć zęby i pracować nad następnymi numerami, bo inaczej raczej nie wypada choćby przez wzgląd na wyżej wymienionych i niewymienionych z nazwiska, którym po prostu dziękuję.

Robert Pawłowski – redaktor naczelny (póki co)

Spod Lwowa do Złotoryi

Jerzy Peszko – erudyta, esteta, szczególnie wrażliwy na kobiece piękno. Kiedy trzeba - szorstki i dosadny w słowach. Prawdziwy homo viator z apetytem na życie i przygody. Niezaprzeczalnie to człowiek – legenda, skarbnica wiedzy o Złotoryi i jej losach. Fenomenalna pamięć, skrupulatność i dar opowiadania sprawiają, że ponad sześciogodzinna rozmowa z bohaterem tego tekstu to fascynująca podróż w czasie i przestrzeni. Nikły jej ślad przedstawiam czytelnikom „Echa".

Dzieciństwo

Urodził się dziewięć lat przed wybuchem II wojny. Przyszedł na świat w inteligenckiej rodzinie w Poluchowie Małym na terenie dzisiejszej Ukrainy (lwowski akcent to niewątpliwie zdradza). Rodzice byli nauczycielami. Ojciec - Sylwester, weteran I wojny światowej, uczył wielu przedmiotów. Biegle władał kilkoma językami. Syn odziedziczył ten talent po ojcu. Jerzy przebywał w szkole przez całą dobę, ponieważ jego czteroosobowa rodzina rezydowała w budynku szkolnym, który Sylwester zbudował, by potem tam dyrektorować.

Jerzy miał szczęśliwe dzieciństwo. Nie zaznał biedy ani samotności. Mama zajmowała się domem i 40 hektarowym gospodarstwem. W domu zawsze do pomocy były służące. Pensja ojca wystarczała na utrzymanie całej rodziny, opłacenie czesnego w gimnazjum, do którego uczęszczał starszy syn i wybudowanie domu. Tak wtedy zarabiali nauczyciele.

Kiedy Jerzy miał siedem lat, rodzice przeprowadzili się do nowo wybudowanego domu w Przemyślanach, który szybko stał się ostoją życia towarzyskiego i skupiał inteligencję z okolic Lwowa. Rodzice Jerzego bardzo dbali o wychowanie dzieci zgodnie z zasadami kindersztuby. Zależało im na nauczeniu synów systematyczności w pracy i nauce.

Mały Jurek nie był aniołkiem. Kiedy za bardzo ponosiła go dziecięca fantazja i pociąg do przygód, ojciec szybko interweniował, jak na przykład w zdarzeniu ze straszeniem Żydów. Jerzy żył w wielokulturowym środowisku. Żydzi z pejsami i w jarmułkach budzili naturalną ciekawość chłopca i chęć konfrontacji Do tego stopnia, że w Święto Kuczki, kiedy wyznawcy starej wiary budowali tradycyjne modlitewne szałasy na dachach swych domów, Jurek z wiernym kompanem ze szkolnej ławy zaczął rzucać w ich stronę kamieniami. Kilka z nich uderzyło w namioty. Nie uszło to na sucho Jurkowi. Jeden z poszkodowanych Żydów rozpoznał napastnika i zaraz poszedł na skargę do Sylwestra. Ojciec zareagował stanowczo, w sposób dziś przez liberałów niedopuszczalny. Wziął pas, którego przeznaczenie było, oględnie mówiąc, wielofunkcyjne i wyperswadował synowi to nieobyczajne zachowanie. Jurek na długo zapamiętał tę lekcję pokory i tolerancji.

Szkoła

Przed wojną Jerzy zdążył ukończyć cztery klasy szkoły podstawowej. Wtedy w Poluchowie, Przemyślanach, we Lwowie była Polska. Po wojnie Polska odeszła na Zachód. Język ojczysty zastąpiono ukraińskim i rosyjskim. Dalsza edukacja Jerzego i jego kolegów przebiegała już w nowych warunkach politycznych i kulturowych. Nie przeszkadzało to jednak chłopcu ukończyć z powodzeniem, w przyspieszonym tempie, dziesięcioletkę, przy czym musiał w ciągu roku nadrobić braki spowodowane czteroletnią, wojenną przerwą. Dużo zawdzięcza swojemu ojcu, który w domowych warunkach edukował syna. Jerzy pamięta, że chemię nieorganiczną opanował z pomocą ojca w jedno popołudnie. *Kiedy ojciec wyłożył swoją lekcję, wystarczyło, że jeszcze raz przeczytałem treść z podręcznika, to znałem całą teorię ze wzorami jak „Pana Tadeusza". Mogłem to recytować bez zająknięcia.* – wspomina. *I do tej pory wszystko pamiętam* – dodaje z dumą. Poza chemią i wieloma innymi przedmiotami musiał nadrobić języki obce (w tym łacinę) i trygonometrię. I ta szła mu nie najgorzej. Na egzaminie rozwiązał wszystkie zadania szybciej niż komisja. Nie biorąc nawet do rąk ołówka. Świadectwo maturalne otrzymał, mając szesnaście lat. Wtedy skończyło się dzieciństwo.

Studia

Wszyscy w szkole myśleli, że Jerzy pójdzie na wydział matematyczno- fizyczny na uniwersytecie. Jednak ojciec zaczął mu to odradzać: *Pójdziesz na uniwersytecie, to będziesz nauczycielem, tak jak ja. Idź raczej na medycynę.* I tak pokierował karierą syna. Na medycynę nie było łatwo się dostać. Nic nie zmieniło się do naszych czasów. Na jedno miejsce czekało ponad 13 kandydatów. Przy czym pierwszeństwo przyjęcia mieli inwalidzi wojenni. Reszta musiała współzawodniczyć ze sobą. Z sześciu egzaminów wszystkie trzeba było zdać na 5, żeby mieć szansę na przyjęcie. Jednym z przedmiotów egzaminacyjnych był język ukraiński. Jerzy napisał dwunastostronicowe wypracowanie bez jednego błędu. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że kilka miesięcy wcześniej, pisząc dyktando, miał więcej czerwonych poprawek nauczycielki niż własnego zapisu fioletowym atramentem.

Mimo, że Jerzy zdawał świetnie wszystkie egzaminy, komisja orzekła, że nie zostanie przyjęty, bo *dzieci nie idą na studia*. Tak orzekli urzędnicy. Jurek miał dopiero 16 lat. Jednak i tu uśmiechnęło się do niego szczęście. Jako że był wtedy reprezentantem swojego okręgu na olimpiadzie wojewódzkiej, poszedł na egzamin w koszuli spod której prześwitywała bluzka z numerem reprezentacyjnym. Nie uszło to uwadze komisji.

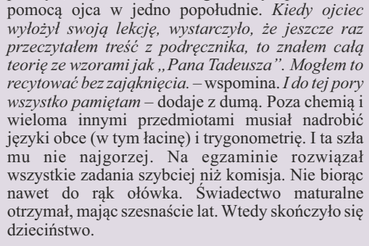

Sportowców nam na uczelni potrzeba - stwierdzili egzaminatorzy. I tak Jerzy został studentem. Niewiele brakowało, a mógł swej medycyny nie ukończyć.

Szkoła przetrwania

Zaraz po wojnie były straszne lata. Na Ukrainie zapanował czas głodu i mordów. Tam wojna nie skończyła się w maju 1945 roku, a jesienią 1949. Władza radziecka urzędowała do godziny szesnastej, potem wychodzili z lasu banderowcy i oni rządzili. A zwyczaje mieli barbarzyńskie. Potrafili, walcząc z władzą, bez skrupułów mordować jej lokalnych urzędników. Na wsiach ścinali głowy wójtom, sołtysom, wieszali ich na kołowrotach studni… Rdzenni Polacy też nie mieli łatwego życia. Musieli ukrywać swoją narodowość. I w tej sytuacji Jerzy otrzymuje zaraz na pierwszym roku studiów polecenie wyjazdu na wieś, aby wyedukować polityczne mieszkającą tam ludność. Najpierw musiał napisać referat, dać go do zatwierdzenia przez władze uczelni, a potem …tylko odczytać w obecności prostego ludu. Wieś do której go skierowano oddalona była od miasta powiatowego o kilkanaście kilometrów. Nie kursowały tam pociągi, autobusy ani inne środki lokomocji. Była sroga zima i wkoło sami banderowcy. Bez przeczytania tego referatu na wsi i potwierdzenia stemplem przez sołtysa nie miał co wracać na studia. Treść referatu dotyczyła szkodliwej działalności nacjonalistów ukraińskich, co zważywszy na sytuację polityczną i konieczność wygłoszenia prelekcji wśród zastraszonych przez UPA chłopów, mogło być gwoździem do trumny referenta. Jednak Jerzy postanowił przechytrzyć władze uczelni. Napisał co prawda wymagany tekst, ale stworzył też drugi na temat jak najbardziej aktualny, ale odległy od ukraińskiej rzeczywistości. I tak wybrał się na swój survival. Kiedy dotarł do wsi, przyjęto go w świetlicy oświetlonej kagankiem. Wiatr z powodu wybitych szyb hulał tam jak na dworze, a mróz był nie mniejszy niż na zewnątrz. Po pewnym czasie zebrali się spędzeni tam, opatuleni w kożuchy, chłopi.

Jerzy musiał pilnować się, żeby nikt nie poznał jego polskiego pochodzenia, bo byłoby po nim. Na szczęście perfekcyjna znajomość języka ukraińskiego w tym momencie ocaliła mu życie. Na samym początku lody zostały przełamane lokalnym produktem – spirytusem. Referent miał niespełna siedemnaście lat i pusty żołądek, a alkohol polewano z kanistra do musztardówek. Nic więc dziwnego, że Jerzy niewiele pamięta ze swojej prelekcji. Ale skoro nie wyrzucono go po pierwszym semestrze ze studiów i jednocześnie uszedł z życiem z podlwowskiej wsi, prawdopodobnie przeczytał „bezpieczny", ten drugi, neutralny referat, a do ostemplowania podsunął polecony i nakazany przez uczelnię.

Praktyki

Od pierwszego roku prowadził dobrowolne studenckie prace naukowe. Na początku była to fascynacja histologią, potem na trzecim roku - farmakologią. Kiedy zdał bardzo dobrze egzamin, profesor zezwolił mu na pracę naukową. Prowadził pracę nad środkami hamującymi krwotoki, miedzy innymi krwotok maciczny. Przeprowadzał doświadczenia na królikach. To był czas, kiedy pracował na okrągło: w nocy w laboratorium, w dzień studiował. Na czwartym roku odkrył dla siebie chirurgię. Znalazł zatrudnienie w Instytucie Naukowo- Badawczym chirurgii Przypadków Nagłych. Był to szpital kliniczny, do którego zwożono wszystkie ostre przypadki z terenu milionowego Lwowa. Lekarzy było kilku, a wypadków multum. *Kiedy stawało się na początku dyżuru przy stole operacyjnym, to tylko zmieniało się fartuchy i rękawice. Jak na froncie*- wspomina. O czwartej nad ranem przychodził kryzys. Usypiał na stojąco. Bywało, że operator budził asystenta uderzeniem po rękach. Czasami zdarzało się, że lekarz dyżurny dosłownie padał ze zmęczenia, wtedy oddawał pacjenta Jerzemu. I tak student czwartego roku stawiał pierwsze kroki w swoim przyszłym zawodzie. Studia ukończył mając dopiero 21 lat, czyli w wieku, kiedy wielu dopiero zaczyna.

Kariera

Po studiach Jerzy postanowił rozpocząć doktoranturę. Musiał jednak znaleźć profesora, który zgodzi się zostać jego promotorem. Wymarzył sobie, że będzie to profesor Fiodorow z Leningradu, uznany przez ZSRR za najzdolniejszego naukowca ze 103 państwowych uczelni. Jerzy, pełen odwagi, zwrócił się do Fiodorowi z pytaniem o zgodę na opiekę merytoryczną nad doktorantem. *Proszę bardzo* – powiedział, ku uciesze Jerzego, naukowiec. Był tylko jeden problem: Fiodorow zaraz wyjeżdżał do Chin. Miał zatem sprawować opiekę nad pracą na odległość, a w praktyce zostawił doktoranta samemu sobie. Zdołał tylko przed wyjazdem zadać temat pracy: *Wpływ antybiotyków na organizm w warunkach głodu tlenowego*. Jerzy nie miał prawa zakwestionować tematu. Przyjął go z dobrodziejstwem inwentarza. Po jego stronie stał entuzjazm i systematyczność, przeciwko – nowatorstwo tematu i brak bazy naukowej. Jako, że nie przeprowadzano jeszcze takich badań, Jerzy musiał borykać się z problemami typowymi dla pioniera. Była to jego terra incognita. Zaraz na początku niezrażony doktorant zabrał się za ślusarstwo, by wykonać potrzebne urządzenia, kabiny baryczne. Potem za własne pieniądze kupował myszy i szczury do doświadczeń. Znowu, starym zwyczajem pracował 24 godziny na dobę, bo jednocześnie prowadził zajęcia ze studentami. Nie porzucił też ukochanej chirurgii. W 1955 roku, mając niespełna 25 lat, obronił pracę dysertacyjną na stopień doktora nauk medycznych.

Mobilizacja

Niewiele brakowało, a Jerzy pojechałby na wojnę. Jako student należał do *istriebitielnego batalionu*, czyli organizacji paramilitarnej, pomagającej zwalczać bandy UPA. Bywało, że w trakcie zajęć przychodził wojskowy i kazał ubierać pałatkę, brać karabin maszynowy i iść walczyć z wrogiem. Czasami te akcje kończyły się tragicznie dla studentów. Nikt nie miał jednak wyboru, bo polityka obronna nakazywała edukację wojskową w sposób teoretyczny i praktyczny. Równocześnie z zajęciami na uczelni Jerzy musiał zaliczyć przedmioty w pięcioletnim studium wojskowym (równolegle drugie studia). Uczył się taktyki walki, rodzajów broni i specyficznej chirurgii wojskowo-polowej. Ukończył to studium jako porucznik. W 1956 roku zaczęła się wojna o Kanał Sueski. Związek Radziecki stał się strona konfliktu, więc nastąpiła mobilizacja *ochotników.* Trzeba było ruszyć na pomoc egipskiemu pułkownikowi Nasserowi. Jerzy otrzymał kartę powołania jako *dobrowolec* , co go niezmiernie zaskoczyło. Ubrano go w radziecki mundur i kazano czekać na wylot w stronę Kanału Sueskiego. Tacy jak on *ochotnicy* siedzieli teraz w bazie, zabijali czas, umilając pobyt gorzałką, śpiewaniem antywojennych pieśni i narażaniem się dowództwu. Na trzeci dzień pułkownik Nasser podziękował Rosjanom za pomoc. *Dobrowolcy* mogli zdjąć mundury i wracać do domu. Nie trzeba tu chyba wyjaśniać, dlaczego ich to bardzo ucieszyło.

Wyjazd

W 1957 roku, mając na swoim koncie doktorat, drugi stopień specjalizacji z chirurgii, będąc samodzielnym pracownikiem naukowym oraz mężem i ojcem, porzuca bezpieczna drogę kariery i wyrusza w nieznane. Decyduje się na wyjazd do Polski. To ostatni moment na repatriację. Zabiera ze sobą żonę, dziecko i wszystko, co najcenniejsze: motocykl, pierzyny i książki…masę książek. Najbliżsi: rodzice brat są przeciw jego decyzji. Matka pyta: *Po co to wszystko?* Prosi: *Zostaw choć adres, gdzie będziesz mieszkał*. Nie jest w stanie spełnić tej prośby, bo sam nie wie, gdzie rzuci go życie. Wsiada do pociągu, który ma ich zawieźć na Zachód. Ministerstwo Zdrowia obiecuje mu posadę w Szczecinie w Pomorskiej Akademii Medycznej.

Jadą tygodniami w krowiaku, czyli wagonie towarowym. Jest wrzesień, zaczynają się przymrozki, w wagonie nie ma ogrzewania. Obserwują szron na ścianach. Ciepła nie daje nawet obecność kilkunastu osób w jednym wagonie. Oprócz ludzi na tej małej powierzchni mieściły się kufry, łóżka, krowy, kozy…Jechali jak śledzie w puszce. Godzinami stali na bocznicach, bo musieli przepuszczać pociągi z węglem jadące na Wschód. Potrzeby fizjologiczne załatwiali zwykle przez dziurę w podłodze podczas jazdy. Największy problem był z dziećmi, bo jak im wytłumaczyć, że mają być grzeczne, cierpliwe i nie siusiać na postojach. Podróż była gehenną. Kiedy Jerzy z rodziną dojechał do Warszawy, okazało się, że muszą zmienić cel podróży. Szczecin przestał być aktualny. Urzędnik tłumaczył to zmianami politycznymi, które zaszły w 1956 roku w Polsce. *Pana skierowanie było wydane przed Październikiem, teraz jest po Październiku* – wyjaśniał. *Niech Pan jedzie na prowincję.* Nie miał wyboru. Był mróz, dziecko chore, krzyczy z bólu. Pojechali tam, gdzie było można. Pociąg zawiózł ich na Dolny Śląsk pod Oleśnicę do Dobroszyc. Tam w nieczynnym kościółku zrobiono punkt repatriacyjny. Spędzono wszystkich przyjezdnych, pokazano prycze i kazano się rozgościć. Jerzy zostawił tam żonę i dziecko, a sam pojechał szukać pracy i mieszkania. Dotarł do Wrocławia. W Urzędzie Wojewódzkim po wysłuchaniu jego historii, pokazano mu palcem na mapie Złotoryję.

Zapytał tylko, czy tam są góry. Kiedy dowiedział się, że w Złotoryi góry się zaczynają, uznał, że to może być miejsce dla niego i jego rodziny.

Ciąg dalszy nastąpi

Iwona Pawłowska

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska sekretarz red.), Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).

Zdjęcie na okładce: Złotoryja wieczorową porą - R. Pawłowski.

Karczma w Jamie

Działo się to czwartego dnia ostatniego miesiąca bieżącego roku. Tęgie głowy poszły po rozum do głowy i wymyśliły integracyjne obchody górniczego święta.

W wielkiej komitywie Towarzystwo Tradycji Górniczych , Polskie Bractwo Kopaczy Złota i Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej spłodziły dziecko - Karczmą Piwną 2008 zwane.

Sproszono gości .Wraz z nadejściem godziny 18.00 organizatorzy i ich przyjaciele zgromadzili się pod ścianą „Jędrusiowej Jamy"", gdzie przy akompaniamencie orkiestry górniczej odbyło się

Stańmy bracia wraz
Ilu jest tu nas
Zróbmy przyjacielskie koło
I zanućmy pieśń wesołą
Póki mamy czas, póki mamy czas

uroczyste odsłonięcie ściany ozdobionej motywami kopalnianymi oraz znakami rozpoznawczymi towarzystw.

Wreszcie otwarto podwoje lokalu „Przy Miłej".

Uczestnicy stłoczyli się w oczekiwaniu na rytualny skok przez skórę wielce szanownych jejmościanek i jegomościów. Karczmę Piwną poprowadzili w dwóch tablicach kontrapunkci: Konrad z rodu Murdyłów i Moskot, któremu na chrzcie imię Jerzy nadano.

Gościom odczytano ich prawa, ledwo w trzech punktach zawarte, zaś rejmenterowanie gwarkami powierzono Starej Strzesze, występującemu w naszym grodzie jako Andrzej Kowalski , a któremu

Niech żyje bal
Wszystkie kufle pełniutkie dziś mamy
Orkiestra gra
Jeszcze jeden kielich znów w górę
Wypij do dna
Jutro czarną napotkasz znów dziurę

powierzono przewodniczenie Wysokiemu Prezydium.

„Silentium , silentium absolutum" - tymi słowy do

Jeszcze jeden kufel dzisiaj

zgromadzonych zwrócił się prezes. Nigdy Nieomylne Prezydium zasilili : Zenon Bernacki-

Stańmy bracia wraz
Już rozstania czas
Karczmę piwną pożegnajmy
I wesoło zaśpiewajmy
Raz na pełny gaz, raz na pełny

Kasztelan na zamku Grodziec, Jan Kusek – Wielki Mistrz Polskiego Bractwa Kopaczy Złota oraz Aleksander Borys – Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej

Kiedy formalnościom stało się zadość i

Wysokie, Nigdy Nieomylne Prezydium

wyśpiewano stosowne przyśpiewki, po sali rozbiegli się fuksowie donosząc jadła i piwa tak, by sromoty Karczmie nie przynieść , a zgromadzonych starannie nakarmić i napoić. Wysokie Prezydium

Mocny uścisk rąk
Przyjacielski krąg
Żegnamy się z łezką w oku
Do spotkania w przyszłym roku

miało baczenie, by niczyj kufel nie świecił pustką. Najważniejszy konkurs w piciu piwa wygrała Jejmościanka Jadwiga Szeląg, którą udekorowano ,,Medalem Piwożłopa". Zabawa trwała. Ustanowiono, że euro w naszej gminie zostanie

Z klawiszem i humorem

wprowadzone w tym roku, ruszy budowa obwodnicy i metra. Karczma wprowadziła jednomandatowe okręgi wyborcze i ratyfikowała Traktat Lizboński .

Sprawniejszym udało się między haustami wyśpiewa ć trzydzieści cztery pieśni zebrane w okolicznościowym śpieworniku. Śpiewom gwareckim towarzyszyła trójka muzyków: Anna Samburska, Michał Piasek-Wanski oraz Krzysztof Zamojski.

Zabawa trwała do późnych godzin nocnych, a zasilający tablicę prawą ks. Krzysztof Czyż rozwój śpiewaczy gwarków obiecał. Kontrapunkci wypili Bruderszaft, co oznaczało, że można kończyć zabawę. W obawie, by nie doczekać chwili, kiedy zostanie wysączona ostatnia kropla złocistego napoju, odchodzili kolejno i starzy , i młodzi. Jak wszystko co dobre ma swój koniec, tak i Karczmę czas było pożegnać.

Tekst – Danuta Sosa
Zdjęcia z archiwum Andrzeja Kowalskiego

Głędziołki: Ludzkim głosem

Z Bożym Narodzeniem wiąże się wiele obyczajów. Kulturę narodową tego okresu wzbogacają przywiezione przez naszych dziadów (i rodziców niektórych z nas) obyczaje i obrzędy kresów, zwłaszcza wschodnich.

Wśród wielu - szczególnie urzeka mnie, wspominany przez babcię Hanię, która urodziła się jeszcze w XIX wieku na kresach (tarnopolskie), zwyczaj rzucania kutii w górę, aż do sufitu, tak, by przyklejona na suficie łyżeczka tego smakołyku została na pamiątkę świąt aż do wiosennego malowania. Co miał oznaczać ten zwyczaj? Miał nie tylko przypominać atmosferę świąt. Obligował wszystkich mieszkańców do pracy, by za rok nie brakło w gospodarstwie miodu, maku, pszenicy i kosztownych zamorskich bakalii. Wbrew katolickiej, przebogatej obrzędowości tych świąt, miał pewnie te same, pogańskie źródła, które kazały mieszkańcom Reymontowskich Lipiec zanosić pożywienie na groby zmarłych bliskich, ukochanych. To dla nich- kutia na suficie.

Także ludowy zwyczaj gospodarskiej wigilii ze zwierzętami miał stanowić znak szacunku dla bydlątek, znacznej przecież części dobytku. Skoro mogły w wigilijną noc przemówić ludzkim głosem- czemuż nie miałyby się przy tej okazji poskarżyć na złe traktowanie? Gdyby zaznały lekceważenia, biedy, poniewierki? Mogłyby się poskarżyć! U dobrego gospodarza miały więc należyty szacunek przez cały rok! Zrównane z człowiekiem w tę jedną świętą noc- zasługiwały na respekt i szacunek przez resztę roku.

Dodatkowe nakrycie na wigilijnym stole każe czujnie nasłuchiwać, czy nie puka do drzwi głodny, biedny wędrowiec. Mamy obowiązek ugościć takiego, sadzając przy wspólnym stole. Ale dodatkowy talerz jest ponadto symbolem tęsknoty za zmarłymi członkami rodzin, za żyjącymi, oddalonymi setkami kilometrów, którzy nie mogli przybyć na wigilijną wieczerzę do rodzinnego domu.

Dzielenie się opłatkiem jest tym momentem, który wzrusza szczególnie. Składamy sobie życzenia, co przecież czynimy kilka razy w roku. Jednak w wigilijny wieczór te życzenia są głębsze, serdeczniejsze, cieplejsze, mniej banalne, płyną z głębi serca, rozczulają, dodają otuchy. I wszyscy są dla siebie dobrzy. Jak mogą- najczulej wyrażają siłę rodzinnych więzi. Najbliżsi sobie członkowie rodziny dziękują cichutko, na ucho, żeby nikt nie usłyszał. Za co? Za to, że jesteśmy sobie bliscy. Że mamy siebie. Jest nam dobrze, bo wszyscy są dla siebie dobrzy. Nawet jeśli trzeba było wybaczyć temu czy owemu to czy owo. Wybaczyliśmy. Bo jak inaczej dzielić się opłatkiem? Bo tak naprawdę lubimy być dobrzy. Bo w każdy z bożonarodzeniowych zwyczajów wpisany jest ten warunek. Dobro i dobroć. Bycie dobrym i czynienie dobra. Bo w tę noc nawet bydlątka mówią ludzkim głosem.

Babcia

Rada Gminy

Na połowę bieżącej kadencji Rady Gminy przypadła XXI sesja, którą przewodniczący Rady Gminy **Józef Pawlus** zwołał na 24 XI 2008 r. Rada rozpoczęła obrady w 11 osobowym składzie (w trakcie przybyły 2 osoby) przy udziale stałych gości: wójt **Marii Leśnej** oraz skarbnik **Elżbiety Gwóźdź** oraz sołtysów i przewodniczących osiedli; z uwagi na tematykę obecni byli również gospodarze świetlic i kierownik Biblioteki Publicznej Gminy Złotoryja (Halina Durachta).

W pierwszym merytorycznym punkcie sesji **Wójt** Gminy Złotoryja złożyła **informację z działalności Wójta Gminy między sesjami.**

W punkcie **interpelacje, wnioski i zapytania** głos zabrali następujący radni: **Jan Tymczyszyn** z Lubiatowa, **Wioletta Zając** z Jerzmanic-Zdroju, **Zenon Baranowski** z Gierałtowca. Z prawa zabrania głosu w tym punkcie skorzystali również sołtysi**: Edward Janiec** z Jerzmanic-Zdroju, **Czesław Pawlus** z Podolan oraz **Maciej Jasiński** z Wysocka. Odpowiedzi udzieliła Pani **Wójt Gminy** po koniec sesji.

Tematem wiodącym sesji była **działalność bibliotek i świetlic wiejskich w roku 2007 oraz I półroczu 2008 r.** Z informacji przygotowanej przez **Halinę Durachtę,** kierownika Biblioteki Publicznej Gminy Złotoryja wynika, że na terenie gminy funkcjonują 4 biblioteki: w Rokitnicy – jako Biblioteka Publiczna Gminy Złotoryja(H. Durachta) oraz jej 3 filie: w Jerzmanicach-Zdroju (G. Markowska), w Gierałtowcu (L. Markowska) i w Wilkowie-Osiedlu (B.Zenter), a także punkt biblioteczny w Ernestynowie (M. Przybysz). Aktualnie księgozbiór wynosi łącznie 46.728 tomów – największy w Rokitnicy (15.460). Na zasoby biblioteczne składa się literatura piękna dla dorosłych i dzieci oraz popularnonaukowa, w tym także pozycje dotyczące Śląska i Ziemi Złotoryjskiej. W analizowanym okresie zasoby powiększyły się o 1.184 woluminy i, co godne uwagi, także o lektury, podręczniki dla studentów i maturzystów (na te ostatnie wydatkowano 21.800 zł). W roku 2007 zarejestrowano łącznie 1.439 czytelników, najwięcej w Wilkowie-Osiedlu (409), najmniej w Jerzamnicach-Zdroju (212); w punkcie bibliotecznym w Ernestynowie – 173. Pod względem ilości wypożyczeń przoduje Gierałtowiec – 8.542, natomiast dostępność do Internetu jest najwyższa w Rokitnicy – 1.771 osób (wilkowska biblioteka nie ma dostępu do Internetu). Najwięcej czasopism wypożyczono w Jerzmanicach-Zdroju.

Ogólnie pozytywną działalność bibliotek, które oferują mieszkańcom także inne formy imprez kulturalnych (wystawy, konkursy) zaciemnia likwidacja punktu bibliotecznego w Prusicach- po likwidacji szkoły odbieram to jako kolejne zubożenie kulturalnych możliwości i aspiracji tej dużej wsi (chyba, że społeczeństwo Prusic już się ich wyzbyła i poddało się?). Organizowanie nawet najwartościowszych imprez nie jest w stanie zastąpić atmosfery i systematycznej pracy szkoły i biblioteki. Pół etatu świetlicy i działalność OSP nie są w stanie wyrównać tak dotkliwych strat.

W każdej miejscowości działa świetlica (łącznie18). Tylko jedna (Wilków-Osiedle) prowadzi działalność na pełnym etacie, jedna na ¾, pięć na ½, pozostałe na 1/5 etatu. Te placówki spełniają istotną rolę w środowisku wiejskim. To nie tylko miejsce zebrań wiejskich, lecz rozlicznych (czasem już tradycyjnych) imprez dla dorosłych i dzieci; nieraz służą jako miejsce treningów (Gierałtowiec, Lubiatów). Świetlice są systematycznie remontowane i wyposażane w niezbędny sprzęt i urządzenia, dzięki którym możliwy jest stały kontakt z dziećmi i młodzieżą (np. w czasie ferii zimowych). Informację o działalności bibliotek i świetlic Rada Gminy przyjęła bez uwag (chociaż głos zabrało kilka osób).

XXI sesja Rady Gminy podjęła kilka uchwał w tym m.in. wyraziła zgodę na zbycie nieruchomości w drodze przetargu w Gierałtowcu oraz bez przetargu w Jerzmanicach-Zdroju.

Na podstawie materiałów sesyjnych udostępnionych przez Marię Jędrzejkiewicz opracował Alfred Michler

Rozmowa z Jadwigą Szeląg - mieszkanką Złotoryi, radną Sejmiku Dolnośląskiego

Lucyna Jurek: Może Pani przedstawić ogólny zarys działalności sejmiku:
Sejmik a Urząd Wojewódzki?

Jadwiga Szeląg: Sejmik wojewódzki jest władzą samorządową – taką samą jak urząd gminy, miasta czy powiatu. Radni wybierani są tak samo w wyborach samorządowych. Kompetencje radnych są podobne. Tak samo jak w każdej gminie radni należą do różnych komisji zajmujących się poszczególnymi problemami np. kultura, zdrowie , ochrona środowiska.

Do wyłącznych zadań sejmiku należy w szczególności uchwalanie aktów prawa miejscowego, strategii rozwoju województwa, planu zagospodarowania przestrzennego województwa, uchwalanie budżetu województwa, podejmowanie uchwał w sprawach wewnętrznych oraz dotyczących współpracy zagranicznej województwa.

Pracą radnych kieruje przewodniczący sejmiku, który ma dwóch zastępców. Funkcję przewodniczącego rady pełni Jerzy Pokój z Jeleniej Góry. Z przewodniczącym współpracuje zarząd województwa, z marszałkiem województwa na czele, panem Markiem Łapińskim.

Faktycznie województwem rządzi marszałek przy pomocy zarządu, niemniej wszystkie decyzje zarządu muszą być poddane weryfikacji przez radnych sejmiku i zatwierdzone przez radnych w trakcie posiedzeń sejmiku (dotyczy to szczególnie decyzji finansowych).

Natomiast wojewoda jest przedstawicielem rządu na terenie województwa i do jego zadań należy koordynacja wszelkich czynności związanych z decyzjami rządu – coraz bardziej maleją kompetencje wojewody, a rosną -Urzędu Marszałkowskiego, zgodnie z założeniami reformy samorządowej.

L. J.: W pracy jakiej komisji Pani uczestniczy?

J. S.: Jestem wiceprzewodniczącą komisji zdrowia oraz weszłam do grupy konsultującej przeprowadzenie reformy służby zdrowia na Dolnym Śląsku przy Marszałku (zdrowiem zajmuje się Piotr Borys).

Druga komisja, do której należę, to komisja kultury.

L. J.: Minął już półmetek pracy w sejmiku. Jakie przedsięwzięcia udało się Pani przeforsować dla naszego miasta i uzyskać środki na ich realizację?

J.S.: W ubiegłym roku Kościół św. Jadwigi otrzymał 60 tys. zł na renowację średniowiecznych obrazów, a w tym roku:

- Kościół św. Jadwigi 40 tys. zł, na zabezpieczenia przeciwwłamaniowe,
- Kościół św. Mikołaja 20 tys. zł, też na zabezpieczenia przeciwwłamaniowe,
- Kościół N.N.M.P. 70 tys. zł, na remont empory,
- zamek w Grodźcu 100 tys. zł, na zabezpieczenie dachu,
- miasto 70 tys. zł, na renowację fontann.

Poza tym brałam udział w lobbingu projektu złożonego przez Burmistrza Złotoryi na boisko sportowe z transzy norweskiej – 800 tys. euro. Zainteresowana byłam również tym, żeby kluby sportowe z terenu mojego powiatu otrzymały dofinansowanie swojej działalności z Urzędu Marszałkowskiego.

L. J.: Czy były wnioski o przedsięwzięcia warte realizacji, a nie znalazły poparcia w sejmiku?

J. S.: Z naszego terenu nie było wniosków odrzuconych.

L. J.: Jak wygląda Pani współpraca z lokalnymi samorządami.

J. S.: Urodziłam się i wychowałam w Złotoryi, i dla mnie jest nieistotne, jaką opcję polityczną reprezentują władze miasta czy powiatu. Dla mnie najważniejsze jest dobro mojego regionu i mogę współpracować z każdym przedstawicielem samorządu. Moja współpraca z władzami układa się bardzo dobrze. Wszyscy działamy dla dobra naszego terenu. Dla dobra tego rejonu staram się o wpisanie do wojewódzkiego planu inwestycyjnego remontu wraz modernizacją drogi Legnica – Złotoryja – Jelenia Góra oraz dosyć daleko posunięte są również działania dotyczące wybudowania obwodnicy miasta Złotoryi.

Burmistrz bardzo dobrze współpracuje z wojewódzkim Wydziałem Dróg i do końca roku ma być gotowy projekt wykonalności, a co za tym idzie, następny etap przejmuje województwo i z własnych funduszy sfinansuje budowę.

L. J.: Gościła Pani przedstawiciela Urzędu Marszałkowskiego, jeśli to nie tajemnica, co było przedmiotem wizyty?

J. S.: Niedawno gościłam dyrektora Urzędu Marszałkowskiego, który oglądał nasze zabytki odnowione dzięki pieniądzom z urzędu.

L. J.: Prowadzi Pani indywidualną specjalistyczną praktykę lekarską – Poradnia K oraz NZOZ, gdzie zatrudnieni są specjaliści; urolog, laryngolog, dermatolog i ginekolog. Bierze Pani udział w posiedzeniach sejmiku. Musi być też czas dla Rodziny. Jak godzi Pani życie osobiste z obowiązkami zawodowymi.

J. S.: Nie mam małych dzieci wymagających opieki i cały swój wolny czas poświęcam pracy samorządowej. Mam bardzo wyrozumiałego męża, rozumiejącego moją pasję społecznikowską i dzięki temu jakoś funkcjonuję.

Nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, jak ogromny jest to obowiązek.

Staram się być radną dbającą o swój teren i swoich wyborców. W mojej pracy zawodowej zrobiłam sobie jeden dzień w tygodniu wolny – środa – który poświęcam pracy samorządowej. Praktycznie w każdą środę jestem we Wrocławiu.

Nie opuszczam żadnych posiedzeń komisji ani sejmiku.

L. J.: Czego życzyć Radnej w najbliższej przyszłości?

J. S.: Zdrowia. Szczytem moich marzeń jest obwodnica miasta.

Rozmawiała: Lucyna Jurek
Zdjęcie Józef Banaszek

Z każdym mogę współpracować

Dziennik z podróży

Widok na fiord Aurand

29. 08. 2008, 21[30]
Wyjeżdżamy ze Złotoryi w czteroosobowym składzie: moja żona, jej siostra z mężem, który mieszka i pracuje w Sztokholmie i ja. Na autostradzie deszcz, ale od Berlina -pięknie wygwieżdżone niebo.

30. 08.
Godzina 4[30], jesteśmy w Rostoku, czekamy na prom do Danii. Odpływamy około 6[00], piękny wschód słońca nad Warnemünde (awanport Rostoku) morze spokojne, dopływamy do Gedser, przed portem „plantacja" wiatraków, po 60. straciłem rachubę. Przejazd autostradą przez Danię monotonny, ale most przez Sund dostarcza wrażeń, szkoda, że fotografować można tylko z samochodu. Pogoda piękna, przejeżdżamy przez Geteborg i na fiordzie Svinesund przekraczamy granicę norweską. Nocleg na kempingu w Utne, z polską obsługą, pracującą tu sezonowo. Przejechaliśmy 1330 km.

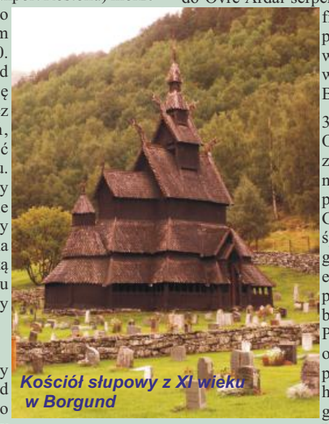
Kościół słupowy z XI wieku w Borgund

31.08
Jedziemy na północ, omijamy Oslo i tunelem pod Oslofiordem (płatny) do Drammen. Drogi dobre, w całej Norwegii z małymi wyjątkami obowiązuje 80 km/h. Wszyscy jadą 80 i nikt się nie wlecze. Liczne fotoradary, poprzedzone informacją. Reklam wzdłuż drogi nie ma, jedynie tablice zachęcające do zapinania pasów. Od Kongsberg jedziemy drogą krajobrazową do Geilo, coraz wyżej, aż do strefy górskiej tundry, a potem do Gol. Piękne krajobrazy, góry podobne do naszych Karkonoszy, tylko wyższe i rozleglejsze. Wreszcie Borgund, domek u Haakona Kvamme, pod czterema szumiącymi wodospadami. Domek skromny, ale z ogrzewaniem i ciepłą wodą. Rewelacyjne stuletnie drewniane łóżko, rozsuwane na szerokość. Praktyczny naród, jak jedno z użytkowników umarło, łóżko zsuwano, aby nie zajmowało dużo miejsca.

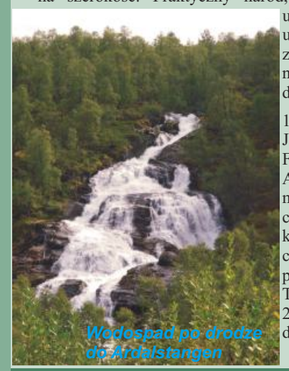
Wodospad po drodze do Arboristangen

1.09
Jedziemy do Flom, nad Aurlandsfiordem. Dla cierpiących na klaustrofobię to ciężka przeprawa. Tunel ma tylko 25 km, po drodze trzy parkingi w potężnych halach. Z Flom do Myrdal koleją. Kilka wagonów, dwie lokomotywy, jedna ciągnie, druga pcha, z powrotem obie hamują. Tylko 20 km, 20 tuneli i same zakręty. Postój przy wodospadzie. Na jego tle występują dwie tancerki, występ ilustrowany muzyką Griega. Wodospad olbrzymi, 93 m, bryzga wodą aż na drewniany peron. Z poziomu morza - Flom do Myrdal 863 m. Wracamy do Flom, potem do Undredal, nad fiordem Aurland najmniejszy w Norwegii kościółek z XII wieku. Z Aurland „zimową drogą" (zamknięta od października do maja) jedziemy przez góry. Na wysokości 1300 m kamieniste pustkowie porośnięte karłowatą brzozą i mchami, płaty śniegu i owce – zwykłe, tylko zaaklimatyzowane - jedzą skąpą trawę i mchy. Potem z Laerdal do Burgund. Krajobrazy wspaniałe, drogi spadają serpentynami coraz niżej.

2. 09
O dziesiątej jedziemy z Burgund do Hogset, potem pod górę do jeziora Tyin przez typowy field. Zjazd do Ovre Ardal serpentynami wyciętymi w zboczu fiordu z wysokości 1200 m do poziomu morza. W Hjelle wodospad na zboczu wysokości 120 m. Powrót do Borgund wzdłuż fiordu Ardall.

3.09
Od rana trochę pada. Jedziemy z Adamem obejrzeć otwarcie nowego tunelu na trasie E16 przechodzącej przez Borgund. Gra orkiestra, na estradzie śpiewa jakaś dziewczyna z gitarą. Puszczają nas pod estradę i wylot tunelu. Tunel co prawda tylko 3 km, ale żadnego biskupa, czy prałata. Poświęcenia tez nie było, jak oni będą tam jeździć? Jedziemy potem na tzw. „drogę historyczną" prowadzącą przez góry. W XVIII w. biskup Pontopidanus (ten sam, który pono widział krakena) pisał, że jest to najbardziej przykra droga w znanych krajach. Faktycznie przykra, wzniesienia do 20%. Wozy konne były na niej niegdyś dodatkowo podciągane i hamowane linami. W drodze powrotnej fotografujemy słynny na całą Norwegię Stavkirkje (kościół słupowy – tak, jak nasz Wang, zasadnicza konstrukcja to pionowe słupy, na których oparta jest więźba dachowa i ściany boczne) z połowy XII w.

4.09

Prom z Fodnes do Gaupne

Wyjeżdżamy z Borgund do Fodnes na prom. W tej części Norwegii bez promów i tuneli nie można się poruszać. Jedziemy do Nigard, a potem prywatną drogą w stronę czoła lodowca. Prywatna znaczy płatna. Niewielką opłatę wrzuca się w specjalnej kopercie do skrzynki, podnosi szlaban i jedzie dalej. Taka droga nazywa się „bomveg". Od parkingu przeprawa łodzią przez jezioro, potem pół kilometra rumowiska i wygładów lodowcowych i jesteśmy przy jednym z jęzorów lodowca Jostedals, największego w Europie. W ciągu ostatnich 40 lat jęzor lodowca (część poniżej granicy wiecznych śniegów) cofnął się o przeszło kilometr z powodu ocieplania klimatu. Wracamy potem wzdłuż Lustrafiordu, jest cicho, słonecznie. Serpentynami wspinamy się do ojczyzny mroźnych olbrzymów ze skandynawskich sag. Jotunheim jest skalistym pustkowiem, góry ośnieżone sięgają 2400 m. Na wysokości 1500 m zaczyna padać śnieg, czyżby Jotunowie mieli coś przeciw nam? Opuszczamy Jotunheim i dobrą drogą jedziemy w stronę Geiranger. Znów zjazd do poziomu morza, a potem wspinanie się „drogą orłów" do Eidsvatnet. Domek na wzniesieniu nad jeziorem, siedzimy przy kominku, w jeziorze odbijają się światła odległych domów.

5. 09
Wypad do miasta Stranda, cztery razy promem.

6.09

Jęzor Nigard największego norweskiego lodowca Josterdal

Dzień bez wyjazdów, usiłuję łapać ryby w jeziorze. Nic nie bierze, może one uznają tylko miejscowe przynęty. Łowi się tu głównie pstrągi, w dużych rzekach -łososie, w jeziorach również szczupaki. Norwegowie wędkują masowo, chociaż nie ma związku wędkarskiego tak jak w Polsce, tylko wykupywane w lokalnym sklepie „fiskekort" – okresowe pozwolenia na dany rejon. Nasze panie znajdują trochę dorodnych grzybów, głównie kozaki, więc na kolację są grzyby. W Norwegii nikt ich nie zbiera i w górach znajdowaliśmy je nawet przy drodze.

7. 09
Jedziemy do Geiranger. Zimno, niskie chmury odcinają wierzchołki gór. Trzeba cierpliwie poczekać, aż drogę opuści stado kóz, chodzących samopas. Wszyscy czekają, bo to widok częsty w górach. Zwierzęta przechodzą przez jezdnię tylko w wyznaczonych miejscach. Takie miejsce jest z dwóch stron ograniczone „pralką" z poprzecznie ułożonych rur stalowych, przez które samochód przejedzie, ale kopytka kóz i owiec wpadają w szczeliny i dzięki temu zwierzęta nie chodzą wzdłuż szosy. Nad fiordem chmury zalegają w połowie wysokości zboczy, wierzchołki oświetlone słońcem. Płyniemy do Hellesylt, słynne wodospady „Siedem sióstr" ledwie ciurkają , suche lato. Z Hellesylt do Strynu, wzdłuż jeziora Hornindals, najgłębszego w Europie – 514 m i jeziora Stryn. Od Hjelle zaczyna się „wspinaczka" serpentynami po drodze turystycznej (zakaz wjazdu z przyczepą). Na górze kończy się asfalt, zaczyna droga szutrowa. Krajobraz księżycowy, wysokość ponad 1200m, niskie brzozy, mchy, jagodziny, turkusowe jeziorka i białe płaty jęzorów lodowcowych. Na jednym z nich letnie centrum narciarskie. Przy drodze tablice ostrzegają przed chodzącymi luzem reniferami. Wjeżdżamy na leżącą 1500 m nad Geiranger górę Dalsnibbe. Widok jak z samolotu, daleko w dole fiord i serpentyny, serpentyny, to trzeba zobaczyć i przejechać!

Rzeka wypływajaca z jezora u stóp lodowca Josterdal (jęzor Nigard)

8. 09
Promem do Linge a potem do Valldal i dalej na północ do Gunbrandsjuvet. Wąski, głęboki na kilkadziesiąt metrów kanion z kotłującą się białobłękitną wodą. Wracamy do Valldal i drogą nad Tafiordem jedziemy do zapory Zacarias (96 m wysokości) wyglądającej jak cienki betonowy łuk wpasowany w wąski kanion. W drodze powrotnej obserwujemy z góry Tafiord i hodowle łososi. Są to duże klatki z siatki metalowej, zatopione w wodzie i połączone pomostami, po których taczkami rozwozi się pokarm. Część jest zakotwiczona na środku fiordu i dostępna tylko za pomocą łodzi. O kupnie ryb jak nad polskimi stawami nie ma mowy. W roku 1934 oberwała się część zbocza fiordu powodując potężną tsunami. Jej wysokość dochodziła do 30 m. Zginęło 57 osób.

9. 09
Zaczynamy wyprawę na „drogę atlantycką". Do Molde promem, a potem nad Fraenfiordem do Bud, położonego nad otwartym morzem. Pogoda piękna, ciepło, ocean gładki, przed nami najbliższy ląd to Islandia. W Bud oglądamy fortyfikację, na których stała bateria dział 280 mm strzegąca wejścia do fiordu. Straciła rację bytu z powodu rozwoju techniki rakietowej, zdemontowana po II wojnie światowej. Obecnie dla turystów postawiono starą, z I wojny armatę Kruppa, kalibru 152 mm. Słońce, błękitny ocean i szkiery. Droga prowadzi nad samym morzem. Między drogą a morzem nowoczesny budynek, ale dziwnie ogrodzony podwójnym wysokim płotem, z drutem kolczastym. Więzienie – ale z jakimi widokami!
Na wyspę Averoya prowadzi most – betonowy łuk rozpięty nad fiordem. Wracamy do Molde i potem tunelem pod Fannefiordem do Andalsnes. Tutaj zaczyna się słynna „droga Trolli". Jedenaście serpentyn z poziomu morza na przełęcz. A potem już tylko zjazd do Valldal i do Eide.

Widok na fiord Geiranger

10. 09
Jedziemy do Nordal. Jest to stolica komuny czyli gminy, a składa się z małej przystani nad fiordem, kilkunastu domków, sklepu i małej „kirchy" z pięknym, typowo norweskim cmentarzykiem – równo wystrzyżona trawa i sterczące pionowo tablice, przy niektórych kwiaty. Z Nordal do Herdalssetra (setra – hala) droga prywatna, za przejazd płaci się 50 koron. Gruntową drogą w skalistym parowie pniemy się pod górę. Nachylenie 22%. A potem jezioro i rozległa hala z bystrym potokiem. Na hali stare trzystuletnie domki pasterskie i oczywiście kozy, owce i małe norweskie koniki – fiordingi. Koń typu kuca o mocnej budowie, izabelowatej maści (kawa z mlekiem), z ciemną pręgą na grzbiecie, nie płochliwy. Hodowany w całej Skandynawii, niegdyś do pracy w ciężkich warunkach górskich, obecnie głównie do zaprzęgów (także w Polsce – w Nowielicach i Łobzie na Pomorzu). Hala otoczona górami pokrytymi śniegiem. Idę nad potok, zaczynam rzucać, tracę dwie „blachy" i łapię dwa pstrągi. W tym czasie panie nazbierały grzybów.

11. 09
Jedziemy do Geiranger w celach fotograficznych, piękna letnia pogoda. Na punkcie widokowym 300 m nad fiordem spotykamy wycieczkę niemieckich emerytów, którąś z kolei. Polskich emerytów w

Widok ze szczytu Dalsnibba na miejscowość Geiranger

Norwegii nie widziałem, pewnie nie lubią. Za to w pobliżu punktu widokowego znów dorodne grzyby! Na redę wpływa statek „Lofoten" linii Bergen – Kirkenes. Taki rejs trwa 2 tygodnie, z zawijaniem do najciekawszych fiordów, połączonym z wycieczkami autokarowymi. Łódź motorowa zabiera wysiadających, a statek płynie dalej.

12. 09
Wyjeżdżamy z Eidsvatnet. Najpierw mocno pod górę do Grotli, a potem już głównie łagodnie w dół, dobrą drogą przez Lom, Otta do Lillehammer i wzdłuż dłuuugiego jeziora Mjosa na ostatni nocleg do Tangen.

13.09
Rano wyjeżdżamy na lotnisko Gardemoen (30 km od Oslo). Żegnamy się z naszym kierowcą i przewodnikiem. Adam wraca samochodem do Sztokholmu, a my samolotem do Wrocławia.

Norwegia jest pięknym krajem, składa się na to unikalne połączenie gór i morza, a także infrastruktura związana bezpośrednio z osadnictwem, jak i turystyczna. Dobre, doskonale oznakowane drogi, duża sieć kempingów. Charakter osadnictwa inny niż w Polsce, częściowo narzucony przez warunki geograficzne. Brak wsi w naszym rozumieniu, domy rozrzucone na dużej przestrzeni, często położone wysoko nad fiordem. Małe miasteczka, z centrum handlowym, przystań dla łodzi motorowych i pomost dla promów. Czysto, spokojnie, na obszarach pozamiejskich rozproszona zabudowa, ludzi prawie nie widać, kolorowe domki, zadbane otoczenie, ale wysokich płotów nie ma. Ludzie życzliwi, domki turystyczne były zostawiane z kluczem w drzwiach, wieczorem przychodził właściciel i inkasował należność od turystów. Teraz trzeba znaleźć właściciela. Czyżby to wpływ „turystów" z pewnego kraju ze środkowej Europy?

Autor u stóp największego norweskiego lodowca Josterdal

Jest niestety pewien minus tych wspaniałości. Norwegia jest dla Polaków droga, stąd pewnie tak

„Garaże" na łodzie nad Tafiordem

mało turystów, szczególnie indywidualnych. . Olej napędowy 12-13 koron, Żywność też nie jest tania: chleb około 10 koron, ziemniaki-tyle samo, pomidory (i to kiepskie) około 30 koron. Jabłka kupowane na samoobsługowym straganie (stolik, waga, foliówki i otwarte pudełko z pieniędzmi) też 39 koron, tyle samo śliwki. Każdego dnia , z wyjątkiem pierwszego i ostatniego, przejeżdżaliśmy od 150 do 250 kilometrów, zajmowało nam to cały dzień, biorąc pod uwagę konieczność przepraw promem i kręte górskie drogi. Ceny noclegów (bez bielizny pościelowej) są zróżnicowane – od 600 do 1200 koron na dużych kempingach. W Norwegii płaci się za domek, bez względu na ilość miejsc.

Tekst i zdjęcia: Andrzej Frąckiewicz

Most na wyspę Navroy

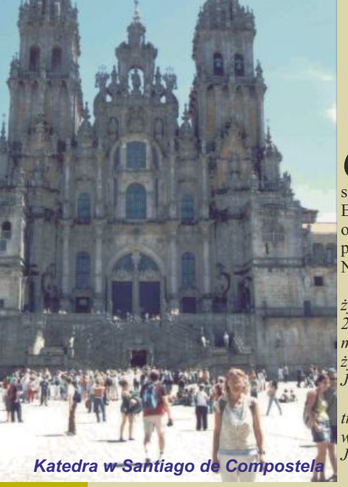
Katedra w Santiago de Compostela

Pierwsze złotoryjanki na hiszpańskiej camino

Camino de Santiago, czyli Droga św. Jakuba do Santiago de Compostela. Tam, gdzie grób patrona pielgrzymów, wędrowców, sierot, szpitali i hospicjów. Choć sieć jakubowych szlaków pokrywa Europę, najbardziej wymarzonym przez pielgrzymów jest ich hiszpański odcinek, liczący ponad 780 km. O nim tajemniczo pisał Paulo Coelho w powieści *Pielgrzym*.

Niektórzy przez cale lata przygotowują się do takiej wyprawy.

Był to pomysł mojej córki Judyty, która niekiedy błyskawicznie wciela w życie swoje zamiary – opowiada Grażyna Fiałkowska. *Pod koniec maja 2008 roku oświadczyła po prostu, że już zaplanowała wyjazd i nie mam martwić się ani finansami ani kondycją oraz pogodą. „Coś się Tobie od życia należy, Mamo! Jak coś się wydarzy, to po prostu wrócimy.” Mąż Judyty skwitował krótko: „ Polacy zawsze dadzą sobie radę!”.*

Właściwie to za bardzo się nie zdziwiłam. Uświadomiłam sobie, że od trzydziestu lat myślałam o zwiedzeniu Paryża, o który miał zahaczyć nasz wyjazd. Potraktowałam go jako religijno-turystyczny, aby zanieść św. Jakubowi prośbę o szczęśliwe życie dla dzieci – Judyty i Andrzeja.

Po zwiedzeniu Paryża, dokąd doleciały tanimi liniami samolotowymi, Grażyna i Judyta pojechały dalej pociągiem przez Bayonne do Saint-Jean Pied de Port, jeszcze po francuskiej stronie Pirenejów. Tutaj dopiero uświadomiły sobie w pełni, że przed nimi 33 etapy, każdy liczący średnio co najmniej 24 kilometry.

Nadeszły wspomnienia dawnych harcerskich wędrówek. Judyta, chyba w obawie o moje możliwości, ukryła, iż jeden odcinek liczyć będzie aż 42 a cztery inne ponad 30 km. Pamiętam wyraźnie, z jaką radością 5. lipca o ósmej rano ruszyłyśmy z Pied de Port do Roncesvalles. Szłyśmy przeważnie same, mijając niekiedy grupki liczące kilkoro pielgrzymów. Pierwszy nocleg pielgrzym musi zamówić prywatnie, dopiero od następnych ma prawo do schronisk i innych miejsc na trasie. Tutaj można zostawić wszystko, co zbyteczne a nawet wziąć rzecz, pozostawioną przez innego pielgrzyma. Najlepiej dotrzeć na kwaterę nie wcześniej niż o pierwszej po południu, bo do tego czasu szykowane są noclegi dla następnych pielgrzymów. Ruch rozpoczyna się w ogóle około 8 wieczorem. Na trasie są miejsca, gdzie pielgrzym może nabrać wody, i punkty medyczne. Z kontaktami nie ma problemu, prawie wszędzie jest dostęp do Internetu. Spotkałyśmy urocze schroniska, gdzie czekały darmowe posiłki. Mijałyśmy niezapomniane miasteczka, w których czas zatrzymał się w średniowieczu, legendarne zamki templariuszy, przepiękne kościoły, wspaniałe wąwozy, malowniczą przyrodę. Jedna z wiosek powstała specjalnie dla pielgrzymów. Pielgrzym ma okazję na przemyślenia, bycie sam ze sobą.

Certyfikat z Santiago de Compostela, poświadczający przejście drogi

Dopowiedzmy, że pod Roncesvalles w 778 r. zginął słynny rycerz Roland w walce z Baskami. Pytam o znajomość języków obcych i okazuje się, że na upartego można się bez nich obejść, ale najlepiej znać angielski lub niemiecki(jak Judyta) bądź hiszpański. Program minimum to rozmówki hiszpański. Najlepiej wybrać się w lipcu, bo wtedy plecak jest najlżejszy.

Grażyna na trasie pielgrzymki

Spotkały nie tylko, jak mówią, *całą Europę, jednak bez Rosji,* ale także pielgrzymów z Japonii, Chile i Kanady, USA, Australii i Ameryki Łacińskiej. *Bardzo życzliwie są przyjmowani Polacy, z pewnością jest to wpływ i pamięć o pielgrzymkach Jana Pawła II. W wielu miejscach znajdują się rzeźby bądź obrazy naszego Papieża. Jedna z miejscowych kobiet bez wahania napełniła nam butelki wody na słowa „jesteśmy z Polski”. Spotkałyśmy około 16 Polaków, wśród nich 6 z zagranicy. Żałujemy, że nie miałyśmy małych biało-czerwonych chorągiewek, bardzo możliwe że Rodaków było więcej, lecz narodowość pielgrzyma trudno rozpoznać na pierwszy rzut oka.*

Polski pielgrzym może być zaskoczony tym, że albo niektóre kościoły są zamknięte albo w wieczornej mszy uczestniczy niewiele osób, również nie wszyscy pielgrzymi. Aby otrzymać w Santiago de Compostela specjalny certyfikat, trzeba przejść minimum 200 km, stąd sztuczny tłok właśnie na ostatnich odcinkach, gdzie wielu dojeżdża po prostu autokarami. Cała trasa jest poza tym raczej za ciężka dla mniejszych dzieci.

10. sierpnia dotarły do Santiago de Compostela.

Judyta na końcu Świata przy przylądek Finisterra

W polskiej kaplicy tamtejszej bazyliki trafiły akurat na mszę jednej z autokarowych pielgrzymek z Polski. Obowiązkowo przytuliły się do figury św. Jakuba, powierzając mu swoje intencje. Kilka dni później w bazylice tradycyjnie wyczytano ich nazwiska. Stamtąd jeszcze odwiedziły autostopem przylądek Finisterra, czyli koniec świata, gdzie przed wiekami dopłynąć miała łódź z ciałem Świętego. Wracały przez Madryt i Berlin do Zgorzelca.

Grażyna i Judyta uważają, że miały wielkie szczęście, są jednak przekonane, że nic nie dzieje się bez pomocy bożej. *Nasza podróż też nie była przypadkowa. Myślę, że zawsze miałam właściwy stosunek do rzeczy materialnych, ale teraz nabrałam jeszcze większego dystansu do wszystkiego. Na trasie szybko dojrzałyśmy do tego, by zostawić niepotrzebne rzeczy a na koniec nawet namiot. W Hiszpanii wyjątkowo lekko przeszłam zapalenie oskrzeli, teraz nie odczuwam żadnych dolegliwości zdrowotnych. Była to podróż mojego życia.*

Żałujemy, że spośród 1500 zrobionych tam fotografii, możemy wybrać tylko kilka. Pani Grażyna podkreśla, że wiek nie jest żadną przeszkodą w realizacji takiego zamierzenia, nie ukrywa że ma 56 lat. Gotowa jest udzielić wszelkich porad ewentualnym następcom (wiemy o takich planach kilku złotoryjan…). *Buen Camino – szczęśliwego pielgrzymowania!*

Roman Gorzkowski

P.S. Mamy nadzieję, że tytuł artykułu odpowiada prawdzie – gdyby jednak ktoś ze złotoryjan

Fragment legitymacji z pieczątkami poświadczającymi przejście poszczególnych odcinków

Tarłam mak w makutrze szybko, szybciutko, ino migało

Nazywam się **Aniela Mnich,** z domu **Krupska,** pochodzę ze wsi Serednie Małe koło Ustrzyk Dolnych w Bieszczadach. Wśród większości Ukraińców tam mieszkających my, Polacy, trzymaliśmy się jakby w jednym gnieździe. Cała nasza gromada to byli potomkowie szlachty zagrodowej, których można było łatwo odróżnić od reszty, bo każda polska rodzina miała nazwisko kończące się na -ski. Były więc rodziny Krupskich, Jastrzębskich, Domańskich, Kwiatkowskich, Radwańskich, Michalskich, Skowrońskich i Wiśniowskich. Teraz po mojej wsi nie ma nawet śladu…

Nasze domy były drewniane,
budowane z bardzo grubych desek, układanych jedna na drugą. W szparach między deskami utykało się mech, następnie był on równiutko obcinany, a całe ściany uszczelniano ziemią zmieszaną z plewą albo z sieczką. Dzięki temu domy były bardzo ciepłe. Ta mieszanina przypominała tynk i bieliło się ją wapnem. Z daleka budynki wyglądały jak murowane. Dachy kryto strzechą. U bardzo bogatych, którzy mieli krewnych w Ameryce, na dachach była blacha, a ściany domów szalowano drewnem.

Dom wewnątrz również był bielony wapnem, co powodowało w pomieszczeniach cudowną świeżość. Za podłogę służyła gliniana polepa, dokładnie wyrównana, bardzo twarda, jak murowana. Podczas zamiatania nigdy się z podłóg nie kurzyło. W pobliżu naszego gospodarstwa płynął potok górski, dokoła były rozległe, zielone łąki, z których było dużo siana na zimę. Mieliśmy też duży sad, bo wujek miał złote ręce i potrafił szczepić różne gatunki drzewek. Pamiętam, że mieliśmy słodkie, czerwone, bardzo smaczne jabłka.

Mój dom rodzinny był duży, wygodny, z łatwością mieściła się w nim rodzina taka duża jak nasza, a mieszkało w nim 9 osób: moja babcia, moi rodzice, taty *rodna* siostra, wujek, ich dwie córki, *stryjko*, no i ja.

Budynek stał tak jak ten,
w Wojcieszynie, szczytem do południa. Wspólnym dachem była przykryta część mieszkalna, stajnia, pomieszczenia dla zwierząt hodowlanych i stodoła.

Tak budowali tam wszyscy. To było i dla oszczędności, i aby zimą było cieplej. Mieliśmy sześć krów, około 15 owiec, konia, około 50 kur, dwie świnki na swoje potrzeby. Owce dawały wełnę, którą się przędło na sukno. Ja umiałam bardzo dobrze prząść, nawet płótno umiałam tkać (nie miałam wtedy nawet 12 lat) i zrobić wzór! To była żmudna i niełatwa praca. Tkało się całą jesień i zimę, za to ze sprzedaży płótna kupiliśmy do domu okna, piec, krzesła i wiele innych sprzętów. Płótno lniane było drogie, chętnie je kupowały panie z miasta na żakiety i sukienki letnie.

Mieliśmy 14 morgów ziemi (około 7 hektarów) i według Rosjan byliśmy kułakami. Na szczęście mieliśmy znajomego Rosjanina politruka (to tak jakby u nas kapitan). Mój wujek stawiał *zastawy*, to znaczy ruską placówkę przygraniczną, a politruk to nadzorował. Polubił wujka, a nasze rodziny nawet zaprzyjaźniły się. Ten właśnie człowiek powiedział nam w tajemnicy, żebyśmy się zapisali do kołchozu, bo inaczej wywiozą nas do Rosji: „Piszcie się szybko do kołchozu, to nie będzie długo trwało! Szkoda mi was. Tylko nikomu nie zdradźcie, że dowiedzieliście się ode mnie, bo nam nie wolno rozmawiać z wami na te tematy. Może mnie czekać za to sąd polowy”. Posłuchaliśmy go. Na wiosnę zaoraliśmy ziemię, posialiśmy zboża, a już w żniwa w czterdziestym drugim przyszli Niemcy. I było po kołchozach. Dobrze, że się zapisaliśmy, bo dzięki temu uniknęliśmy wywózki w głąb Rosji. Przecież stamtąd mało kto wrócił. Jestem przekonana, że nas Pan Bóg chronił, bo nasza rodzina była bardzo religijna i głęboko wierząca. Takie wychowanie zawdzięczamy mojej babci.

U nas w domu w każdą sobotę
wszystkie buty musiały być wyczyszczone i wypucowane, ustawione w równym rządku.
W niedzielę nie można było wziąć noża do ręki, więc ziemniaki już w sobotę obrane, wypłukane i zalane zimną wodą czekały w garnku do niedzieli. W ten święty dzień nie wolno było wykonywać żadnych prac. Obowiązkowo cała rodzina musiała iść do kościoła i uczestniczyć w niedzielnej mszy. No, czasami były wyjątki. Na przykład jak miała się cielić krowa, to jeden z mężczyzn, wujek, tato albo *stryjko*, zostawał na dyżurze.

Do pierwszej klasy w polskiej szkole poszłam w 1938 roku, gdy miałam osiem lat. Uczyłam się cały rok. Na drugi rok poszłam we wrześniu do szkoły i po polsku uczyliśmy się jeszcze miesiąc. Potem wybuchła wojna i naukę przerwano. Na Sanie wtedy była granica. Od wschodniej strony, czyli od naszej, byli *Ruscy*, a po tej drugiej stronie - Niemcy. Znaleźliśmy się w granicach ZSRR. Zaczęliśmy znów chodzić do szkoły, ale już nie do polskiej. Musieliśmy się uczyć po ukraińsku i rosyjsku. Na szczęście mieliśmy książki do nabożeństwa pisane po polsku. One były dla nas podręcznikami do nauki języka ojczystego, ale mogliśmy je czytać tylko w domu. Bardzo lubiłam czytać. Umiałam sama składać wiersze. Robiłam to też później, już jako dorosła kobieta.

Do końca wojny zdążyłam skończyć tylko cztery klasy. Podstawówkę skończyłam już tu, w trybie wieczorowym, jak przyjechaliśmy w czterdziestym piątym. Byłam wtedy taką *troszku panną*, miałam już 15 lat.

Na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem
w moim domu rodzinnym wszystkie pomieszczenia bieliło się wapnem. W piecu stale był ogień, żeby ściany wysychały. Kobiety robiły duże pranie, bo w domu wszystko musiało być czyste.

W głównej izbie na półce przybitej do ściany stały rzędem wszystkie święte obrazy. Obowiązkiem dzieci i kobiet było je przed Świętami przystroić. Robiłyśmy więc kwiaty z bibuły a do tego dodawałyśmy świerkowe gałązki. Obrazy musiały pięknie wyglądać.

W dzień wigilijny były zabronione odwiedziny. Panował przesąd, że gdyby coś złego się stało w najbliższym roku, to winę za to ponosił ten odwiedzający. To samo dotyczyło pierwszego dnia Bożego Narodzenia. Wyjątek stanowili kolędnicy. A już najgorzej wróżyło, gdyby, nie daj Boże, przyszła kobieta.

W samą Wigilię my, dziewczynki, polepę zamiatałyśmy tak, żeby pyłku nie było widać. Mama z babcią sprawdzały po kątach z latarką! Kolację wigilijną szykowała zawsze babcia. Był opłatek, chlebuś, kapusta z grzybami, gotowany groch, barszcz czerwony, pierogi, gołąbki, słodkie paluszki z makiem i kutia. Mak się tarło w makutrze. Umiałam to robić, chociaż byłam małą dziewczynką, miałam tylko 11 lat. Tarłam mak w makutrze szybko, szybciutko, *ino* migało. Do picia był *musowo* kompot z suszonych jabłek. Do kolacji rodzina zasiadała na ławach drewnianych przy dużym stole nakrytym białym obrusem. To był taki stół, że po rozłożeniu pod spodem była półka do odstawiania potraw.

Kolacja była już przygotowana, potrawy stały w piecu, żeby nie wystygły. Wszyscy, włącznie z dziećmi, wykąpani, odświętnie ubrani, wyczesani jak należy, czekali na rozpoczęcie. Wtedy tato przynosił ze stodoły siano na stół, wujek cały snop zboża, a *stryjko* niósł w płachcie słomę, którą rozrzucał na tę naszą podłogę bez pyłku. Wujek, wnosząc snop zboża, składał powinszowanie:

Szczęścia, zdrowia, wszelkiej pomyślności!
Wesoła dziś nowina, panna Syna powiła!
W żłóbeczku na sianeczku Go złożyła,
Aby ten Jezus maluśki swoją rączką z pieluszki
Was pobłogosławił szczęściem, zdrowiem,
Setnych lat z fortuną, a po skończeniu wieku
Niebieską koroną.
Tego wam życzę i winszuję.
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wtedy snop stawiało się w kącie przy obrazach, a za snopem dwie butelki wódki. To dla kolędników, którzy przychodzili w Święta. Choinki nie było. Potem cała rodzina klękała do modlitwy. Odmawialiśmy chórem na głos „Ojcze Nasz”, „Zdrowaś Mario” i „Wieczne odpoczywanie” (to za zmarłych członków rodziny). Po modlitwie był opłatek polany miodem i pocięty na kawałki. Babcia nie pozwalała łamać się opłatkiem i sama kładła każdemu kawałek na talerz, bo okruchy mogły spaść na podłogę, a to przecież grzech. Dopiero po zjedzeniu opłatka mogliśmy zacząć jeść kolację. Potraw było dużo i *musowo* same postne. Na stole leżał specjalny opłatek dla zwierząt i czekał na swoją kolej. Po kolacji też była modlitwa, a potem wróżby. Pod obrusem było bardzo dużo siana, więc po kolacji wyciągaliśmy źdźbła i wróżyliśmy sobie z ich długości i grubości jaki len urodzi się w przyszłym roku. Potem wujek z babcią szli do zwierząt z tym specjalnym opłatkiem, łamali go na kawałki i dawali do zjedzenia *krowam*, *jałówkam*, *cielaczkam*, koniowi. Zwierzętom bardzo to smakowało, aż się oblizywały. Potem śpiewaliśmy kolędy. Kolędowaliśmy przy stole do samego rana, nikt nie szedł spać. Tak robiła w naszej wsi każda polska rodzina. Na pasterkę szliśmy kilka kilometrów do kościoła w Polanie. Po pasterce trochę odpoczywaliśmy, a w pierwszy dzień Świąt już trzeba było iść do kościoła na sumę.

Po południu, o zmroku, przychodzili kolędnicy. To byli dorośli mężczyźni, odświętnie ubrani, którzy zbierali datki na kościół śpiewając kolędy. Z orkiestrą. Było tak: przychodzili do każdego domu pod okno kolędowali i grali, a ten, kto chciał ich przyjąć, wychodził przed dom i zapraszał kolędników do środka. Tam mężczyźni składali życzenia wszystkim domownikom i znów kolędowali. Mój tato też chodził z nimi, bo grał na skrzypcach. Pamiętam, jak marzły mu ręce, bo wtedy były ostre zimy. Gospodarz tego domu, który gościł kolędników, dołączał się do nich i dalej szedł razem z nimi po domach, kolędując. Na koniec, gdy trafiali do naszego domu, to już była grupa 20-25 osób! I wtedy były tańce do samego rana, do Szczepana.

W naszej wsi żyli Ukraińcy i Polacy pospołu,
było dużo mieszanych rodzin polsko-ukraińskich, dlatego szanowaliśmy swoje święta. Gdy grekokatolicy obchodzili swoje Boże Narodzenie, babcia nie pozwoliła nam pracować. Mówiła: „Nie wiadomo kto się spóźnił, oni, czy my. Trzeba się godnie zachowywać, żeby nie zgrzeszyć i Boga nie obrazić”.

Teraz do mojego domu w Wojcieszynie
na wieczerzę wigilijną zawsze przychodzą moi trzej synowie z rodzinami, a ja, jak mój ojciec niegdyś, składam powinszowanie wszystkim: *Wesoła dziś nowina, panna Syna powiła!*

wspomnień wysłuchała Agnieszka Młyńczak
Wyrażenia regionalne zaznaczono kursywą

Bieszczadzkie paluszki z makiem:
Najpierw robimy masę makową. Mak musi być świeży i utarty ręcznie(!) w makutrze, a nie jakiś mielony! Z maku ma wyjść miazga, ani jedno ziarenko nie może być całe. Do tego maku daje się cukier, miód, mogą być orzechy, ale my nie dawaliśmy. Wystarczy, żeby masa makowa była słodka. Następnie robimy ciasto jak na pierogi: jajeczko, troszku oleju, żeby było bogatsze, mąka, woda, sól. Moja babcia dodawała trochu rozmytych drożdży, od których ciasto robi się pulchniejsze. Całość się zagniata, odstawia na bok na jakieś piętnaście minut, wtedy ono podrośnie. Następnie z ciasta formuje się waleczki grubości palca, ale najlepsze są jeszcze drobniejsze. Potem tnie się te waleczki na ukos po kilka centymetrów, gotuje we wrzącej wodzie i odcedza. Wychodzą twarde paluszki, które miesza się z masą makową. Potrawę można jeść na zimno, ale lepsza jest ciepła.

Szlakiem złotoryjskich mostów

Uczestnicy wycieczki przy moście na ul. Chojnowskiej

Pierwsza niedziela grudnia 2008 roku wstawała niechętnie, ponura, grożąca rychłym deszczem. Ja również niechętnie szykowałam się do comiesięcznego rajdu PTTK. Jednak, ponieważ tym razem byłam przewodnikiem grupy, wiedziałam, że muszę przyjść pod Basztę na zwykłe miejsce zbiórki. Może nikt nie przyjdzie? Jednak za dziesięć dziewiąta już czekało parę osób, a po chwili zebrało się nas dziesięcioro. Deszcz nie padał, więc ochoczo ruszyliśmy w dół ulicą Kościuszki. Towarzyszył nam mokry pies, jakiś bezpański kundel z uśmiechniętym pyskiem wesoło machając zakręconym ogonem. Skakał do każdego zachęcając do marszu.

Zaczynamy od mostu koło dworca kolejowego. Przystajemy, podziwiając na nowo jego niezwykłą urodę, wspominając kolejne powodzie, które ta budowla przetrwała. Następnie ruszamy ścieżką wzdłuż rzeki. Zaprzyjaźniony niedawno pies biegnie przed nami, jakby wiedział, dokąd idziemy.

Listopad bezlitośnie obnażył ziemię z zielonych krzewiastych ozdób pokazując ciekawe rzeczy. Od strony Kaczawy na całej długości muru posesji jakiejś firmy, która ma wejście od strony ulicy Dworcowej, piętrzy się w górę na dobre trzy metry kupa gruzu i śmieci, które ktoś wyrzucił beztrosko przez ogrodzenie. Sterta momentami dochodzi aż do samego lustra wody, mocno utrudniając przejście; przez lato malowniczo porosła bujnymi - teraz zwiędłymi - pokrzywami, ostami, szczeriałymi nawłociami i innymi chaszczami, a na tym wszystkim leżą bezładnie plastikowe butelki i inne śmieci. Zdegustowani tym, wykręcając sobie nogi na wyrzuconych fragmentach gruzu, psiocząc na straż miejską, która powinna pilnować porządku, dochodzimy do kolejnego mostu na Kaczawie. To drewniana kładka dla pieszych, która kilkanaście lat temu przeszła gruntowny remont. Przechodzimy na drugą stronę rzeki i znów idziemy jej brzegiem dość śliską ścieżką, która doprowadza nas do ładnie zagospodarowanego miejsca przy starej sztolni złota (obecnie nazwaną Kopalnią Złota Aurelia). Stąd już niedaleko do kolejnego kaczawskiego mostu na ulicy Chojnowskiej. Wydaje się, że to najpiękniejszy z naszych mostów. Piękne łuki z równo ułożonego piaskowca sugerują, że koryto Kaczawy mogło niegdyś przebiegać trochę inaczej. Na moście od strony miasta inskrypcja, mocno już zatarta, ale data dość czytelna: 1882 rok. Robimy sobie pamiątkowe zdjęcie i idziemy dalej.

Zaczyna padać, pośpiesznie więc wyciągamy z plecaków peleryny. Bartek nie pomyślał o odpowiednim obuwiu i jego buty tekstylne już dawno przemokły. Jednak nie zważając na to, idzie mężnie dalej. Szlak prowadzi nas teraz starym peronem kolejowym. Z uwagi na to, że już nie pada, a leje, postanawiamy iść dalej torem kolejowym prowadzącym wzdłuż ulicy Łąkowej. Tu nie ma mokrych zarośli. Zauważamy, że nasz pies gdzieś zniknął. Trochę szkoda, bo był bardzo miły. Po kilku minutach docieramy do kolejnego mostu, a teraz właściwie kładki dla pieszych na drodze, która łączy *Tajwan* z ulicą Legnicką. Mimo padającego ulewnego deszczu oglądamy i fotografujemy most. Zauważamy resztki kamiennych łuków, które chyba były częścią porządnego kamiennego mostu. Być może runął kiedyś po kolejnej powodzi.

Dochodzimy do ulicy Legnickiej. Nie wszyscy uczestnicy naszego rajdu mają peleryny. Niektórzy, po miejsku, dzierżą parasole. Może to i lepsze od peleryn, które nie odprowadzają wilgoci na zewnątrz, tak że po półgodzinie wewnątrz peleryny robi się bardziej mokro niż na zewnątrz. Leje coraz mocniej. Duch w nas upada i niektórzy tchórzliwie proponują, aby wracać. Jednak został nam jeszcze ostatni most. Stąd przecież to tylko kilkaset metrów. Ja i Bartek zdecydowanie narzucamy swoją wolę całej grupie i po chwili kierujemy się w kierunku grupy mostów. Zza szyb mijających nas samochodów zauważamy zdziwione spojrzenia kierowców jakby mówiące: „Co oni tu robią w taką pogodę?" Jednak my już po chwili skręcamy w lewo i już jesteśmy na starym moście, po którym jeszcze kilkadziesiąt lat temu jeździły samochody. Grupa w całości zostaje przy barierce mostu na górze i nie chce, pomimo moich zachęcających okrzyków, zejść na dół, aby obejrzeć budowlę. Ja jednak, walcząc z gęstymi krzakami oraz fałdami mojej powiewającej na wietrze peleryny, schodzę na dół próbując coś dojrzeć w strugach deszczu. Przybliżam się niebezpiecznie blisko wody. Trzeba uważać, bo jak mówią, i w łyżce wody można się utopić. Szkoda, bardzo szkoda, że jest marna widoczność. To, co widzę, zapiera dech. Przede mną roztacza się widok starego kamiennego mostu, a pod jego pięknymi łukami widać nieco dalej drugi, nowy most. Jest on wsparty ma masywnych kamiennych podporach. Chociaż ten nie ma wdzięcznych łuków, jest na swój sposób piękny. Robię zdjęcie, ale zauważam, że zostało rozmyte kroplą deszczu. Obiecuję sobie solennie, że przyjdę tu wkrótce ponownie, gdy będzie słoneczny dzień, aby z tego samego miejsca sfotografować mosty.

Ponieważ deszcz dalej pada, postanawiamy jednak skrócić rajd i poszukać jakiegoś miejsca, gdzie można by było coś zjeść. Niektórym już dobrze kiszki marsza grają. Przechodzimy zatem na

Most przy ul. Chojnowskiej

drugą stronę drogi i przez Kopacz kierujemy się w stronę miasta. Podziwiamy doskonale utrzymane posesje na osiedlu domów jednorodzinnych. Na rozstaju dróg, przy krzyżu, jedna ze stacji *Ścieżki* świętej Jadwigi. Tablica jeszcze cała, chociaż widać już ślady przypalania jej ogniem. Tymczasem przestaje padać, niebo robi się całkiem jasne. Znowu zaczynamy się wahać, czy dobrze robimy skracając rajd. Jednak kilkoro z nas ma już mokre nogi, więc jednak idziemy w stronę miasta. Porzucamy pięknie utrzymany asfalt dróg gminnych i wkraczamy na błotnistą, brudną i dziurawą drogę miejską - ulicę Broniewskiego kierując się w stronę parku. Nawierzchnia tej ulicy zadaje kłam powszechnej opinii mówiącej, że za komuny wszystko było robione byle jak. Betonowe sześciokąty, tak zwana *trylinka*, prawdopodobnie pochodzi sprzed 1970 roku. Jednak przestrzegam, nie idźcie tą drogą. Jest tak wąska, że pieszy przed samochodami musi się salwować ucieczką bądź na stromą skarpę z jednej strony, bądź na wąski, nierówny krawężnik z drugiej.

Dochodzimy do kolejnej brudnej i błotnistej miejskiej drogi - ulicy Parkowej. Nawierzchnię ulicy stanowi zwykła ziemia trochę ubita stopami przechodniów. Zatem ślizgając się po błocie, docieramy do ulicy Legnickiej, skąd już niedaleko do naszego miejsca odpoczynku. Humory dopisują, bo za kilka minut będziemy jeść. Może uda się rozpalić tradycyjne ognisko? Drogę, która prowadzi do Kopalni Złota Aurelia, jak dumnie obwieszcza napis, pokryto odpadem bazaltowym, który udaje utwardzoną nawierzchnię. W tej chwili stanowi grubą warstwę śliskiego błota z rozlicznymi wybojami. Rozmowy milkną. Trzeba bardzo uważać, żeby nie zamoczyć nóg w jednej z bardzo licznych i zdradzieckich kałuż. W końcu dochodzimy do miejsca naszego odpoczynku, zataczając od rana pętlę. Niektórzy dopiero teraz zauważają, że na terenie dawnych *Filców* nie ma już wznoszącego się tyle lat ceglanego wysokiego komina z pięknym ornamentem. Szkoda, że go rozebrano. Stanowił pamiątkę gospodarczej świetności Złotoryi. Jestem pewna, że można by było tę budowlę zaliczyć do rejestru zabytków.

Most przy ul. Kolejowej

Z ulgą wchodzimy pod dach, ale nie bardzo możemy usiąść, gdyż przecieka on w wielu miejscach, tak że i stoły, i ławy są całe mokre. Rodzi się pytanie, po co ten daszek? Ale oto po chwili Barbara wyciąga nalewkę i z butelki o smukłej szyjce rozlewa trunek. Pijemy smaczną nalewkę z pigwy, aż ktoś przypomina, że przecież niedawno było Barbary! Nie mamy wyjścia. Śpiewamy chóralnie *Sto lat*, składamy życzenia Basi i w tym momencie zapominamy, że jesteśmy mokrzy, że leje i wieje. Odpoczywamy, rozmawiamy, jemy kanapki i kiełbasę na zimno, bo za mokro na ognisko, częstujemy się jabłecznikiem przygotowanym przez Basię. Dziękujemy sobie nawzajem za wspólnie spędzony czas, po czym dobrze utrzymaną ścieżką (szkoda że bez nazwy) prowadzącą stromo w górę, udajemy się do domu.

tekst i zdjęcia Agnieszka Młyńczak

Post scriptum
Następny rajd - w pierwszą niedzielę stycznia już 2009 roku.
Tym razem czarnym szlakiem wokół Szklarskiej Poręby.

Małe kino

Ostatni remont złotoryjskiego kina, „Aurum" miał miejsce w 2007 r. Odnowiono fotele, zamontowano porządne nagłośnienie a całość zmieniła się kolorystycznie – ze szkarłatu na niebieski. Wszystko pięknie, tylko że ekran i projektor pozostały te same (a przynajmniej na to wygląda).

Rozumiem – Złotoryja to małe miasto, dlatego nowe filmy, kiedy już tu trafią - są jak odgrzewane kotlety. Z tego samego powodu mogą też wynikać: przycinanie filmów (prawie każdego) oraz ubogi repertuar. Niepokaźne grono odbiorców powoduje, że wyświetlane są tylko najwybitniejsze (zdaniem dyrekcji kina) filmy. Rażą natomiast dwie rzeczy: cena biletów oraz odwoływanie seansów.

Cena biletu w złotoryjskim kinie to 14 zł. Średnia cena biletu jakimkolwiek z wrocławskich multikin: 15 zł. (cena ta zależy między innymi od dnia tygodnia; nie wspominając już o zniżkach dla studentów i seniorów). Złotówka różnicy, a jakość… bez porównania!

Odwoływanie seansów uważam za zwykłą niegodziwość. Do „naszego" kina chodzę sporadycznie, a spotkało mnie to już z 3 razy… Nawet ostatnio. Jaki jest sens wyświetlania filmu przez pięć dni (o czym dumnie informują nas plakaty wiszące w okolicach ZOKiRu), skoro już czwartego słyszę: „dla dwóch osób filmu nie puścimy". W dodatku wcześniej pan kasjer pytał, czy to my jesteśmy tą parą, co była wczoraj. Wynika z tego, że jeden film odwołano co najmniej dwa razy z rzędu… Może gdybym powiedział: tak, to my! Uwielbiamy robić z siebie idiotów, przychodząc codziennie na nieodbywające się seanse! – film by mimo wszystko puszczono? Wtedy po raz kolejny mielibyśmy całe kino dla siebie.. Jak w filmie.

Może i wyjdę na małostkowego, ale poszukałem trochę na temat złotoryjskiego kina w Internecie. Nic ciekawego i wartościowego nie znalazłem (może nie umiem szukać), ale spodobał mi się jeden artykuł, ze strony zlotoryja.pl. W artykule tym opisano wspomniany przeze mnie remont, z tym że zrobiono do dokładniej. Tak więc dowiedziałem się między innymi, że nowe fotele są niezwykle wygodne, oprócz nich wymieniono też parkiet, oraz – UWAGA – nagłośnienie umieszczono wokół sali. Fanfary! A koszt owego remontu wyniósł 600 tys. złotych.

Nie ma jednak co narzekać – wystarczy raz na rok (albo i częściej, jak to ma miejsce ostatnimi czasy) wyświetlić kolejny film o papieżu i ludzie przybędą. Na przykład – oczywiście obowiązkowo – hordy uczniów w ramach rozmaitych rozporządzeń dyrekcji szkół. Żeby nie kończyć takim ironicznym akcentem – ZAGADKA! Dlaczego kino w Złotoryi, jest zamykane w wakacje, kiedy to wiele osób ma czas wolny, również na oglądanie filmów?

Aleksander Bielecki

Uzupełnienie: właśnie przeglądam pod-stronę ZOKiRu, dotyczącą repertuaru kina, a tam dwa najnowsze filmy są (według informacji na stronie) wyświetlane tylko przez dwa seanse.
Czyżby wreszcie ktoś zaczął analizować rynek?
Artykuł wyraża opinię autora, jak również kilku osób, z którymi rozmawiał on na powyższy temat.

Pokolenia

„Fantazja, fantazja, bo fantazja jest od tego, aby bawić się, aby bawić się, aby bawić się na całego..." Na lekcjach języka polskiego często słyszymy zachętę, byśmy zostali badaczami nie tylko literatury ale też kultury. Podejmuję ryzyko i spróbuję zanalizować wspomnienia z młodości trzech pokoleń. Każde jest inne i każde kolejne mówi o następnym: „Nasze było lepsze". Jest to wynik naturalnych zmian, uwarunkowanych historią, polityką, czasami i panującą modą.

Dziadek

Pokolenie mojego dziadka, który urodził się w latach trzydziestych, miało najtrudniejsze młodzieńcze lata z trzech analizowanych przeze mnie generacji. Opowieści o tym, jak chował się za płotem podczas drugiej wojny światowej, gdy na terenie jego wsi pojawili się Niemcy, wydawały mi się nierealne. Takie zdarzenia znam tylko ze scen filmowych. Widzę tam aktorów, nie ludzi mi bliskich. Więcej jego relacji przepełnionych jest smutkiem, żalem i rozpaczą. Opowiadał mi o niepewności, lęku o życie swoje i bliskich, o tym, jak co chwilę musiał się przenosić z rodziną z miejsca na miejsce, o tym, że brakowało mu stabilności i poczucia bezpieczeństwa. Edukacja tego pokolenia to również zupełnie inna historia. Budynek szkoły był znacznie oddalony od miejsca zamieszkania mojego dziadka. Mówił mi o wstawaniu o 5.00 nad ranem, ponieważ miał do pokonania kilometry. Wspominał też, że klasa składała się z dzieci w różnym wieku i na różnym poziomie. Udogodnieniem dla niego było jednak to, że nigdy nie narzekał na problemy finansowe i nie brakowało mu niczego, z wyjątkiem wspomnianej stabilności. Takie były najmłodsze lata mojego dziadka, reprezentującego czas, który znam z książek i filmów.

Mama

Wtedy wszystko było na kartki, wszyscy nosili długie włosy, królował Axel z GnR, Ozzy Osbourne był królem ciemności, a mama nastolatką. Kiedy pytam rodzicielkę, co pamięta z dzieciństwa, uśmiecha się tajemniczo. Była najmłodszą z rodzeństwa, ma dwóch starszych braci. Odrobinę, bez interesujących mnie szczegółów, mówi, jak się bawiła na podwórku z koleżankami. Uczyła się w obecnie mojej szkole. I opowieści z czasów licealnych zaciekawiły mnie najbardziej. Może przez to, że dostrzegłam wiele podobieństw, a nie - jak według wypowiadanych i głoszonych teorii - różnic. Moja mama uczyła się, trenowała lekką atletykę jeździła na zawody, spotykała się z koleżankami. Dodatkowo, gdy mogła i miała okazję, jeździła na koncerty i do dyskoteki. Tylko wtedy, jak dodaje, to były inne czasy. Słuchano muzyki, która wyrażała z ukrytym sensem bunt przeciwko panującemu ustrojowi. Gwiazdą była Kora a nie Doda. Było to pokolenie, które o coś walczyło i, może zaryzykuję tu, ale miało lepiej poukładane w głowach niż moje.

Ja

A co z moją generacją? Moje dzieciństwo wydaje się najbardziej nudne z trzech pokoleń. Oczywiście bawiłam się na podwórku, chodziłam po drzewach i uporczywie przeszkadzałam dorosłym. Jednak sporo czasu poświęcałam na granie na „królu komputerów" dawnych czasów Comodore C64. Nie pamiętam konkretnych zapachów. Dzieciństwo kojarzy mi się z rowerem i (to odrobinę okrutne) z „komunijną licytacją", czyli kto i ile w maju uzbiera. To również wakacje spędzone u babci i kąpanie jej kota w małym basenie. Wydaje mi się, że są to najważniejsze wspomnienia tego, co nazywam moim dzieciństwem i tego, co mi się z nim kojarzy.

Obawiam się, że zmuszając się do refleksji nad wiekiem i przemijaniem, uświadomiłam sobie i być może innym, to że ludzie starsi ode mnie bardziej cieszyli się drobiazgami i tym, na co dzieciństwo pozwala. Nasza generacja jest już od wczesnych lat przygotowywana na osiąganie zysków i prezentacji publicznej tego, „co złote i się świeci". Chciałam oddać nastrój młodzieńczych lat ludzi wywodzących się z różnych epok: II wojny światowej, PRL-u i wreszcie masowej popkultury. Nie wiem, czy mi się to udało, ale jedno wiem teraz na pewno: Do tego, by walczyć o urokliwe wspomnienia z dzieciństwa, potrzebna jest również walka z ustrojem i …zdecydowanie mniej technologii.

Paula Wełyczko

Ognisko muzyki

Historia ogniska muzycznego w Złotoryi sięga lat 50. Pierwszym dyrektorem tej instytucji był Feliks Zagórski. Zapoczątkował on tradycje, które są kontynuowane po dziś. Swoje stanowisko przekazał Halinie Purol-Czaplickiej, natomiast od 17 lat pieczę nad zajęciami sprawuje pani Małgorzata Napiwocka. Od 1997 roku ognisko oddzieliło się od Legnickiego Stowarzyszenia Muzycznego.

Obecnie osoby, które chcą kształcić się w ośrodku muzycznym, mogą zgłosić się do ZOKiRu do pani dyrektor. Nauki można pobierać na trzech instrumentach: gitarze prowadzonej przez pana Jana Wilkowskiego, pianinie u pani Małgorzaty Napiwockiej oraz na organach u pana Stanisława Stadnika.

Z przeprowadzonej przez nas sondy wynika, że przeciętny złotoryjanin jest w stanie wydać za półgodzinną lekcję gry na instrumencie muzycznym około 20 złotych. Nie pokrywa się to jednak z ceną obowiązującą w miejskim ośrodku muzycznym. Jeden z naszych rozmówców był zainteresowany uczestnictwem w zajęciach gry na gitarze, lecz zmuszony był zrezygnować, ponieważ cena przerosła jego możliwości. Dowiedział się, że musiałby wydać na jedną lekcję 50 złotych. Dyrektor ośrodka podał nam cenę 130 złotych za miesiąc gry na pianinie. Koszty są wysokie, ponieważ ośrodek nie otrzymuje żadnych dotacji i funkcjonuje dzięki opłatom za lekcje i hojności sponsora.

Każda lekcja pobierana w ZOKiR trwa pół godziny i obejmuje indywidualny tok nauczania. Uczeń na początku swej nauki ma dopasowywany program do swych umiejętności i możliwości. Podopieczny, zaczynając swoją muzyczną drogę i przygodę z kultura wyższą, uczy się czytać nuty, następnie gry jedną ręką, stopniowo oswajając się z profesjonalną grą. Uczestnicy zróżnicowani są pod względem wiekowym. Najmłodszy uczeń miał 4 lata. Maksymalny wiek to początek szkoły średniej. Kończąc naukę w ognisku, muzyk dostaje dyplom i certyfikat. Osoby, które pobierają lekcje w ognisku muzycznym, biorą czynny udział w licznych konkursach i koncertach na stałe wpisanych w tradycję ZOKiR i Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Jedną z wychowanek kółka jest 9-letnia Gabrysia, która od dwóch lat pobiera lekcje gry na pianinie. Gabi jest osobą ambitną i, mimo swojego młodego wieku, poświęca czasem trzy godziny cennego czasu na granie. Niedawno rodzice kupili jej pianino, dlatego może swobodnie, w każdej chwili zasiąść do instrumentu. Zdarzają się jednak osoby, które nie mają w domu sposobności do gry, dlatego korzystają z instrumentu w ognisku w godzinach otwarcia. Nie muszą one ponosić dodatkowych kosztów. Ciężka i wytrwała praca a także miłość do muzyki owocują w przyszłości dostaniem się do elitarnej szkoły muzycznej.

Głównym hasłem ogniska jest krzewienie i rozwój kultury muzycznej na naszym terenie. Możemy zaobserwować, że powyższe motto jest wcielane w życie i w miarę możliwości realizowane z pomocą pracowników i uczniów ogniska.

Ania Pitera , Aniela Pietruszczak, Żaneta Kwak

Miejsca, których nie ma

Złotoryja zmienia się na naszych oczach, nie zawsze na lepsze. Przybywa domów, restauracji, sklepów, samochodów. Ubywa miejsca. Urzędy zmieniają swoją lokalizację. Kiedy patrzę na dawne widokówki, Złotoryja wydaje się taka swojska, kameralna…
Dlatego postanowiłam ten pęd życia na chwilę zatrzymać. Co więcej, cofnąć się w czasie, i w impresjach odtworzyć miniony pejzaż. Tekst, który Państwu przedstawiam, to efekt pracy moich uczniów, adeptów dziennikarstwa z LO, którzy „wyszli w miasto", by poszukać miejsc, których nie ma. Rozesłali wici wśród rodziny, pytali babcie, dziadków czy nawet przechodniów o Złotoryję z przeszłości, tej powojennej i zdecydowanie późniejszej. Oto, co ustalili:

1. Calypso

Do Złotoryi wraz z rodzicami przyjechałam w 1946 r. jako 5-letnie dziecko w odwiedziny do babci i cioci, a w 1947r. na pobyt stały. Zamieszkaliśmy przy Placu Wolności (dzisiejszy Rynek).

W miejscu, gdzie obecnie znajduje się ciąg sklepów (Delikatesy i sklep ze sprzętem RTV), były gruzy. Przy tejże ulicy od strony ul. Mickiewicza były wąskie kamieniczki. Najbardziej utkwił mi w pamięci sklepik, który znajdował się w jednej z nich. Można w nim było kupić wszystko z żywności (artykuły spożywcze, słodycze, warzywa itp.). Do dziś pamiętam smak jabłek, kiszonych wraz z kapustą. Były wspaniałe! Na podwórku naszego domu była masarnia, gdzie robiono wędliny, które jeszcze ciepłe szły do sklepu. Tam, gdzie stoi pralnia chemiczna, były domy mieszkalne oraz znajdowały się murowane nieużywane komórki, w których bawiliśmy się. Do naszego domu przylegały budynki, które spłonęły w 1946 lub 1947. Na ich miejscu stał potem bar „Zdrowie" [później Wielkopolski Bank Kredytowy, obecnie Big Bit Komputer – dop. I. P.], sklepy tekstylne. Ruiny znajdowały się na miejscu dzisiejszego LO oraz Szkoły Podstawowej nr 2. Na ulicy Getta Warszawskiego po stronie PKO mieściły się kamieniczki ze stylowymi portalami. Jedyną szkołą była obecna Szkoła Podstawowa nr 1 im. M. Konopnickiej. Na podwórzu tej szkoły znajdowało się wejście do lochów, które próbowaliśmy zbadać. Stał tam również budynek, który służył jako obiekt do ćwiczeń strażaków. W miejscu, gdzie obecnie znajduje się tzw. „jamnik" były gospodarstwa rolne a później i Państwowy Ośrodek Maszynowy. Pamiętam, że w mieście stało dużo domów, które były niezamieszkałe i stanowiły wspaniały teren do zabaw.

Tyle zapamiętałam z okresu mojego dzieciństwa w latach powojennych.
wspomnienia swojej babci
Marii Mikołajczuk
zanotowała Nicol Grochowska

2. Bar Zdrowie

Młodemu pokoleniu trudno wyobrazić sobie , że kiedyś mogło nie być firmy Big Bit Komputer. A jednak...

Chodząc codziennie po złotoryjskich chodnikach nie zdajemy sobie sprawy, że mijamy się z historią. Na rogu Rynku i ul. Solnej, mieścił się kiedyś **bar mleczny *Zdrowie.*** Było to popularne miejsce. Smaczne potrawy (szczególnie ruskie pierogi) oraz niskie ceny powodowały, że lokal ten nigdy nie świecił pustkami. Zawsze można było znaleźć jakiegoś smakosza, siedzącego przy stoliku i testującego nowe dania. Bar mleczny najsilniej zapadł w pamięć starszemu pokoleniu. Nasi rodzice, tuż przed pierwszym dzwonkiem w szkole, zajadali się tutaj pierwszym śniadaniem i spędzali czas po zajęciach lekcyjnych. Było to miejsce ich schadzek, spotkań z przyjaciółmi oraz pierwszych randek. Niestety, zraz nadeszły czasy kryzysu i wprowadzono kartki na żywność. Działalność baru była utrudniona. ***Zdrowie*** powoli traciło swoich klientów, a potem bar zlikwidowano. W jego miejsce powstał oddział banku. Po Złotoryi krąży anegdota o mężczyźnie, który wszedł do przemianowanego lokalu, rozejrzał się z ciekawością po sterylnym i nowoczesnym wnętrzu, potem podszedł do okienka, w którym siedział urzędnik banku i powiedział*: ruskie poproszę.*

Roksana Sobczyk i Paula Sobczak

4. Kaczawianka

Na terenie dzisiejszego banku BZWBK znajdowała się niegdyś restauracja ***Kaczawianka***. Był to jeden z nielicznych lokali, gdzie można było zjeść obiad, posiedzieć ze znajomymi i zabawić się. Za czasów młodości mojej babci było to miejsce spotkań towarzyskich i zabaw okolicznościowych dla pracowników miejscowych zakładów. Urządzano tu sobotnie dancingi i przyjęcia weselne. Lokal mieścił się w bardzo starym budynku. Wtedy domy w północnej pierzei rynku górnego były w tak złym stanie, że groziło im zawalenie. W związku z tym władze miasta podjęły decyzję o oddaniu zniszczonych kamienic w ręce prywatne. W taki oto sposób ***Kaczawianka*** została sprzedana, a następnie lokal i kamienicę zburzono.

Hubert Pawłowski

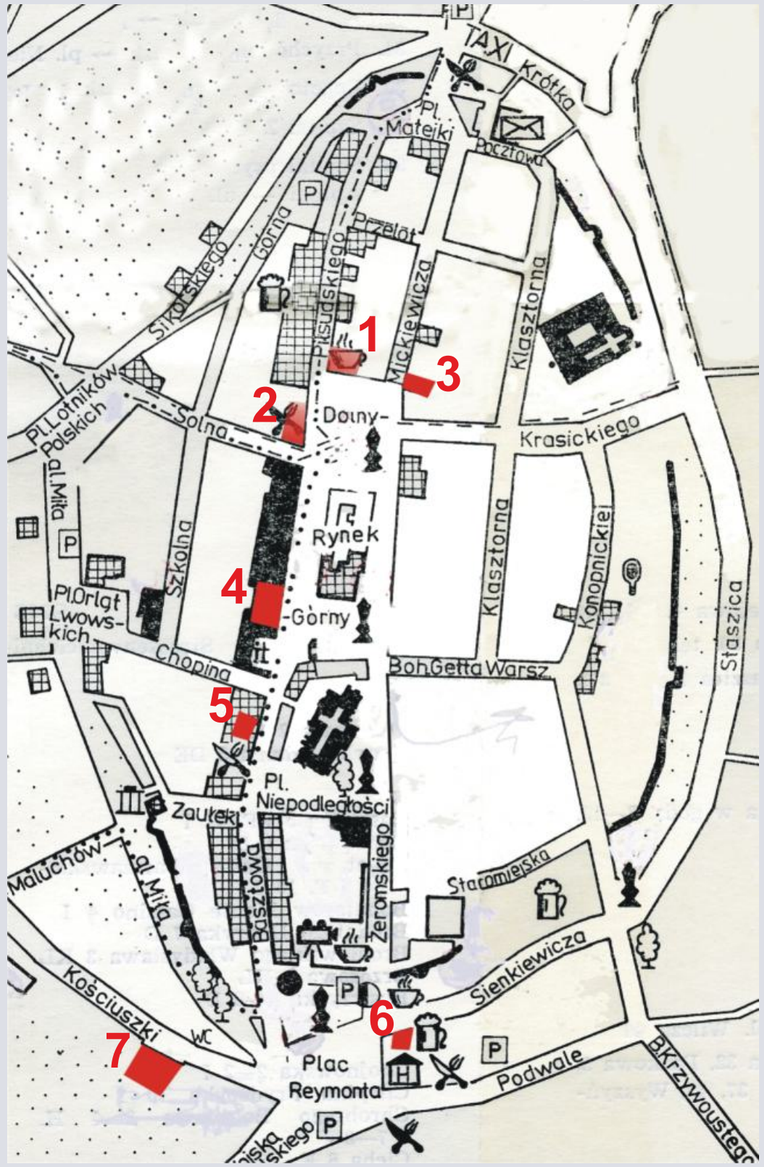

3. Praktyczna Pani

Kiedy próbujemy znaleźć odpowiedź na pytanie, z czym kojarzy się złotoryjanom ***Praktyczna Pani*****,** niestety spotykamy się z dużym zakłopotaniem i niewiedzą pytanych, szczególnie tych z młodszej generacji. Przeważnie spotykałyśmy się z opiniami, że praktyczna pani - to kobieta wszechstronna, poszerzająca horyzonty i gotowa na nowe wyzwania, ale nie były to odpowiedzi, które nas satysfakcjonowały!

Pragnęłyśmy uzyskać informacje o punktach, w których głównie kobieca część miasta i okolic mogła w tamtych czasach poprawić swoją urodę. ***Praktyczna Pani*** znajdowała się przy ulicy Mickiewicza (obecnie jest tam zakład fryzjerski i kwiaciarnia). Powstała w latach 60. ***Praktyczna Pani*** świadczyła usługi w dziedzinie fryzjerstwa, kosmetologii, krawiectwa. Również można tam było wypożyczyć suknie i dodatki, o które w tamtych czasach było ciężko. Nawet wypożyczano tam serwisy obiadowe na wesela.

Praktyczna Pani była świątynią dla kobiet. Tam można było w miłym towarzystwie wymienić informację o znajomych, czyli mówiąc prosto – poplotkować, odprężyć się, a potem wyjść na ulicę z modną fryzurą i odświeżoną cerą. Ot, taki dzisiejszy salon piękności .

Ola Drzal, Joanna Pisarska, Magda Żelasko i Marta Kaliciak

5. Zorba

Jednym ze znanych, a już nieistniejących miejsc w Złotoryi jest kawiarenka ***Zorba.*** Mieściła się ona przy ulicy Basztowej 4. ***Zorbę*** otworzył ok. 20 – 25 lat temu Grek o nazwisku Papadopulos, który mieszkał w Złotoryi wraz z rodziną. Skąd zatem nazwa kawiarni… możemy się domyśleć. Serwowano tam posiłki nieróżniące się szczególnie od oferowanych dzisiaj w polskich lokalach. Była tam pizza (ale później), dania mięsne, jarskie, Do picia podawano kawę, herbatę, napoje gazowane i piwo. Jednak miłośnicy tego miejsca twierdzą, że najlepsze, co stamtąd zapamiętali, to desery lodowe, z dużą ilością bakalii. Miejsce to było bardzo przytulne. Na zewnątrz znajdował się taras, dzięki czemu wiele osób organizowało tam bankiety czy przyjęcia. Po ***Zorbie*** w miejscu tym były później kolejno dwie inne restauracje, bar, sklep rowerowy, a dzisiaj możemy tam zakupić farby.

Magdalena Hrycaj

6. Pewex

Jednym z obecnie nieistniejących miejsc w Złotoryi z czasów PRL był ***Pewex***. Mieścił się w na parterze obecnego budynku hotelu Qubus (dawniej *Pod Basztą*) , zajmował dość znaczną powierzchnię . Z wszystkich informacji uzyskanych z sondy przeprowadzonej na ulicy, wynika jasno, że wielu ludzi nie chciało takich sklepów, ponieważ były to miejsca dla wybranych, sklepy, w których towar nabywali ludzie bogaci, posiadający walutę Stanów Zjednoczonych, czyli dolary. Przeciętny Polak za polską złotówkę nie mógł nic tam kupić. Były to sklepy bardzo ekskluzywne z całą gamą towarów, począwszy od artykułów spożywczych przez chemiczne, alkohole, po zabawki i odzież .

*Pamiętam , pamiętam złotoryjski **Pewex**, z tym , że powstał on trochę później niż w Legnicy czy Wrocławiu.. Najczęściej kupowałem tam spodnie takie jak wranglery , levisy oraz inne rzeczy: kawę, czekoladę, szynkę „Krakus" , czy gumy do żucia „Donald"* – powiedział pan Zdzisław, były klient złotoryjskiego ***Pewexu***.

To było dość dawno ... Nie każdy miał dolary, aby robić zakupy w takim sklepie. Ja miałam taką okazję. Kupowałam wiele rzeczy, najczęściej wyroby mięsne, kosmetyki, alkohol, czasem zdarzyło się kupić lodówkę lub inny sprzęt gospodarstwa domowego. –wspomina pani Ewa.

Dla wielu Polaków ***Pewex*** to była namiastka mitycznego, bogatego i zepsutego Zachodu. Koniec lat 80. to również koniec sklepów ***Pewex*** .Po przemianach politycznych w Polsce otwarto granice, a to umożliwiało większy napływ towarów z innych państw do przeciętnych polskich sklepów. Zachód przyszedł do nas.

Agata Zajda, Agata Ozga

7. u Żejca

Dziś ulicę Kościuszki kojarzymy z najstarszą w Złotoryi *Biedronką*. Jednak jeszcze w latach 80. znajdował się tam inny pawilon handlowy. Starsze pokolenie pamięta słynny sklep ***u Żejca***, którego potoczna nazwa pochodziła od nazwiska właściciela pana Rajmunda Żejca. *Pamiętam ten sklep jak dziś, choć tak ciężko było cokolwiek tam dostać* - powiedziała jedna z zapytanych osób. Był to pierwszy samoobsługowy pawilon w naszym mieście. Mimo większej dostępności produktów spożywczych i przemysłowych, sprzedaż była reglamentowana. Na przykład nie można było kupić więcej niż kilogram pomarańczy (o ile w ogóle dowieziono ten luksusowy towar). Trzeba tam było czekać w bardzo dużych kolejkach. Mnóstwo ludzi stało w sklepie, nie wiedząc, jaki towar będzie za chwilę „rzucony". Na niektóre produkty takie jak papierosy, masło i czekolada, trzeba było mieć dodatkowo kartki. Ale przedtem kupowało się zupełnie inaczej. Wiele osób pamięta jeszcze mleko sprzedawane do baniek na litry.

Półki nie były wypełnione towarem po brzegi, ponieważ znikał on równie szybko, jak się pojawiał. Pod koniec lat 90. na terenie sklepu powstał osobny punkt mięsny, a potem pierwszy w Złotoryi sklep *Wszystko za 5zł,* który stał się hitem. W 1998 roku sklep ***u Żejca*** został zlikwidowany, a na jego miejscu powstała pierwsza *Biedronka*

Martyna Hanysz i Milena Nowak

Zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie magiczne złotoryjskie miejsca zostały tu opisane. Brakuje kina Uciecha, Bolka i Lolka, Cepelii, sklepu u Simińskiej, Domu Towarowego, żłobka na Lenina, cukierni u Studenta i wielu, wielu lokali, sklepów, punktów usługowych czy urzędów, które kiedyś tworzyły klimat naszego miasteczka. Wyrażam jednak nadzieję, że nasi czytelnicy przyłączą się do podróży w czasie i wspomogą redakcję swoimi wspomnieniami o miejscach sentymentalnych.

opracowała Iwona Pawłowska

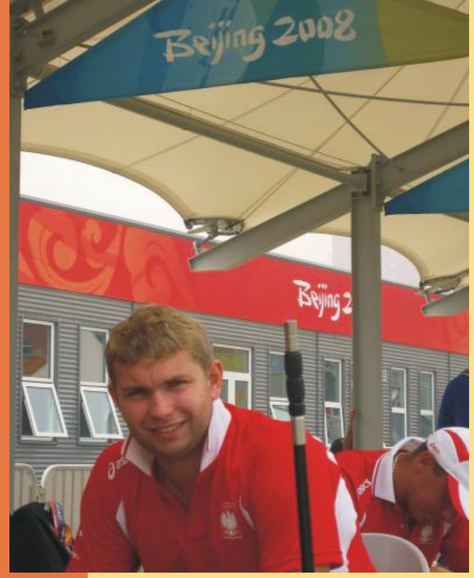

Ciężka praca i wiara w sukces

Paweł Mackiewicz: Kiedy i jak odkrył Pan w sobie talent w łucznictwie?

Jacek Proć: Moja przygoda z łukami zaczęła się od festynu zakładowego. W wieku 11 lat byłem z rodzicami na festynie zorganizowanym przez Legmet. Tam oprócz strzelania z łuku było jeszcze wiele innych atrakcji. Ja przez cały dzień stałem w kolejce do łuków. Później mama znalazła Klub Strzelec Legnica i tak już zostało.

PM: „Strzelec" był Pana pierwszym klubem?

J.P: Moim pierwszym i jedynym klubem był i jest Ośrodek Sportów Łuczniczych „Strzelec" Legnica. Trenuję od ponad 15 lat pod okiem tego samego Trenera – Józefa Baściuka.

PM: Treningi nie przeszkadzały panu w szkole i pracy?

J.P: Przez pierwsze lata treningi nie kolidowały ze szkołą. W domu rodzice na każdym kroku powtarzali, że szkoła i nauka są na pierwszym miejscu. *Możesz osiągać super wyniki w sporcie, a jak w szkoła będzie zawalona, to szlaban na łuki* –mówili. Nigdy nie musieli go stosować, bo przykładałem się i do nauki i do treningów. Jak trafiłem do Kadry Narodowej i zaczęły się poważne wyjazdy, zgrupowania i zawody, uczyłem się na nich a później, po powrocie do domu, zaliczałem wszystkie kartkówki bądź byłem pytany. Przed Igrzyskami Olimpijskimi w Sydney tych wyjazdów było naprawdę wiele. Koledzy kserowali mi notatki i wysyłali na obozy, abym mógł się z nich uczyć. Ważną rzeczą, która umożliwiała mi takie wyjazdy i normalne przechodzenie z klasy do klasy, był fakt, że za każdym razem informowałem nauczycieli o moich wyjazdach i nieobecnościach. Na studiach praktycznie wszystkie semestry letnie zaliczałem we wrześniu, bo czerwiec był najgorętszym miesiącem jeśli chodzi o wyjazdy.

PM: Kiedy i gdzie odniósł Pan pierwszy sukces?

J.P: Moim pierwszym spektakularnym sukcesem było wygranie Mistrzostwa Dolnego Śląska w kategorii młodzików, w 1994 roku.

PM: Ten sukces zmotywował Pana do dalszej pracy?

J.P: Oczywiście. Osoba, która nigdy nie rywalizowała sportowo, nie zna uczucia, jakie towarzyszy zwycięzcy, który stoi na najwyższym stopniu podium. Te parę chwil jest jak narkotyk, uzależnia. Tych parę chwil rekompensuje wszystkie wyrzeczenia, trudy, siedzenie po nocach nad lekcjami. Od tamtej pory stało się to moją obsesją.

PM: Sport ma wpływ na Pana życie osobiste?

J.P: Jak coś się robi ponad pół życia, to ma wpływ i to ogromny. Nie powiem, że całe życie jest podporządkowane łukom, ale w dużym stopniu tak jest. Na takim poziomie jest się cały czas w reżimie treningów. Odbija się to na życiu towarzyskim, bo to znów jakaś impreza przepadła. Zawsze robi się coś kosztem czegoś innego. No i są dwie strony medalu. Jedna ta błyszcząca, lśniąca, a druga ta szara, o której się nie mówi głośno. W końcowym rozrachunku zawsze jednak wychodzi na plus.

PM: Czy zdarzyły się Panu jakieś porażki, które będzie Pan długo pamiętał?

J.P: Porażek nie można rozpamiętywać. Trzeba jak najszybciej wyciągnąć wnioski z błędów, które się popełniło i zapomnieć o całej sprawie. Tyle! Jest nowy dzień i nowe możliwości! Najbardziej bolesną porażką w mojej karierze była przegrana na Igrzyskach Olimpijskich w Atenach w 2004 roku. Przegrałem jednym punktem po nieudanym strzale w ostatniej serii. Ta impreza mnie przerosła. Byłem młody, ambitny i miałem wielkie oczekiwania i nadzieje. Sport uczy wielkiej pokory, ciężko się trenuje i tak do końca nie ma się pewności, czy będzie sukces. Z tamtego pojedynku wyciągnąłem wnioski i po czterech latach, w Pekinie było już lepiej.

***PM: Pewnie zdarzały się chwile zwątpienia*?**

J.P: Zawsze gdy się ciężko trenuje i nie ma wyników, są chwile zwątpienia, ale wiara w sukces zawsze wygrywa. Człowiek odpoczywa i przychodzą wyniki, to jest normalne. Miałem jedną poważną chwilę zwątpienia w swojej karierze. To było właśnie po Igrzyskach w Atenach. Wróciłem do kraju z ogromnym kacem moralnym, zbity jak pies. Igrzyska są taką imprezą, gdzie jeśli ma się medal, jest się kimś. Jeśli nie ma medalu i przegrywa się w pierwszym pojedynku, to jest strasznie. Przez ponad trzy miesiące nie trenowałem. Już praktycznie dałem sobie spokój z łukami. Już pewnie nie wróciłbym do treningów, ale pojawiła się życzliwa osoba, która otworzyła mi oczy. To, co robię, jest wspaniałą rzeczą i jest wyjątkowe. Nie można tak tego porzucać po porażce. Sztuką nie jest ciągłe wygrywanie, ale sztuką jest podnieść się po upadku i biec dalej. Ta osoba uświadomiła mi, że nigdy nie można się poddawać i trzeba walczyć do końca.

PM: Wiem, ze zawody odbywają się w rożnych krajach, proszę wymienić te, które Pan odwiedził

J.P: Było dużo ciekawych wyjazdów w najróżniejsze zakątki świata. Europę zjeździłem prawie całą z łukiem. W Chinach byłem trzy razy. W Korei Południowej też byłem trzy razy. Miałem ponad trzytygodniowy wyjazd do Nowego Jorku. Ostatnio byłem na Dominikanie i w Afryce. Bardzo chciałbym pojechać w przyszłości do Australii i Japonii.

PM: Ma pan czas na zwiedzanie podczas zawodów?

J.P: Wszyscy dookoła mówią, kiedy gdzieś znów wyjeżdżam, że jadę na wakacje. Rzeczywistość jest inna. Jadę do pracy, a nie na wycieczkę. Były takie wyjazdy, kiedy można było pozwiedzać, poznać inne kultury. Ale były i takie wyjazdy, gdzie przez ponad tydzień widziałem tylko lotnisko, hotel i stadion.

PM: Poznał Pan na pewno wielu ciekawych ludzi

J.P: Tak, wyjazdy umożliwiają poznawanie ciekawych ludzi. Na IO (Igrzyska Olimpijskie) jest się jedną wielką rodziną. Znam takie osoby jak Szymon Kołecki, Otylia Jędrzejczak, Leszek Blanik, Renata Mauer, nasze siatkarskie „złotka", i wielu innych. Na IO w Atenach poznałem Michaela Klima, pływaka, Australijczyka polskiego pochodzenia.

P.M: Jaki jest Pekin widziany oczami Olimpijczyka?

J.P: Pekin, ogromne, nowoczesne miasto z bogatą tradycją. W samym centrum przeplatają się obrazki tradycyjnie zdobionych i kolorowych domów z wielkimi szklanymi drapaczami chmur rodem z XXI wieku. Ogromna ilość ludzi i samochodów.

P.M. jak wyglądały Wioski Olimpijskie w Pekinie i Atenach?

J.P: Pekin i Ateny to dwie różne imprezy. W Atenach się tak nie odczuwało, że są to Igrzyska Olimpijskie. Wioska Olimpijska oddalona od centrum Aten o prawie godzinę drogi autobusem, rozmieszczona na dużej powierzchni. Sportowców można było spotkać tylko przy stołówce. W Pekinie mieszkaliśmy w blokach 6 – 8 piętrowych na małej powierzchni. Przez taki zabieg praktycznie o każdej porze dnia, wszędzie było widać pełno sportowców z różnych zakątków świata. Praktycznie wszystkie obiekty sportowe były zgromadzone przy wiosce olimpijskiej. Spacerkiem można było przejść na Stadion Olimpijski, pływalnie czy do parku olimpijskiego. Tutaj czuło się tę niesamowitą atmosferę Igrzysk, której brakowało w Atenach. Z powodu sześciu godzin różnicy czasowej wyjechaliśmy całą grupą dwa tygodnie wcześniej i to też miało wpływ na atmosferę panującą w polskiej reprezentacji. Wszyscy mieliśmy poczucie jednej, wielkiej rodziny, która się wspiera i motywuje w jednym celu - zdobywaniu medali dla Polski.

PM: Wiąże Pan dalszą przyszłość z łucznictwem?

J.P: Łuki już zawsze będą blisko mego serca. Pragnę dalej trenować, strzelać z łuku i jechać na kolejne IO w Londynie po złoty medal

PM: Mam jeszcze jedno pytanie: jestem zawodnikiem klubu strzeleckiego "AGAT ZŁOTORYJA", Pana sukcesy są dla mnie inspiracją, proszę mi dać kilka wskazówek, jak powinienem postępować.

J.P: Do wszystkiego można dojść ciężką pracą i wiarą w sukces. Za każdym razem musisz dać z siebie wszystko, walczyć do końca i nie poddawać się zniechęcony chwilowymi porażkami. Ja 15 lat temu nie zdawałem sobie sprawy, że dzięki łukom zwiedzę pół świata i wyląduje na Igrzyskach Olimpijskich. To wszystko przez wytrwałość, systematyczność i pracę. Pewna mądra osoba powiedziała mi kiedyś taki cytat greckiego filozofa: „Kropla drąży skałę nie siłą lecz wytrwałością"

P. M: Dziękuję za rozmowę i wskazówki na przyszłość.

z Jackiem Prociem rozmawiał Paweł Mackiewicz

Wspomnienia z Pekinu

W sierpniu tego roku podziwialiśmy wyczyny znakomitych sportowców, walczących o olimpijskie laury. Wielu z nas zapewne o tym nie wie, że w naszym powiecie mieszka osoba, która na żywo oglądała zmagania na olimpijskich arenach. Osobą tą jest Henryk Jurzak, prezes Polskiego Związku Łuczniczego.

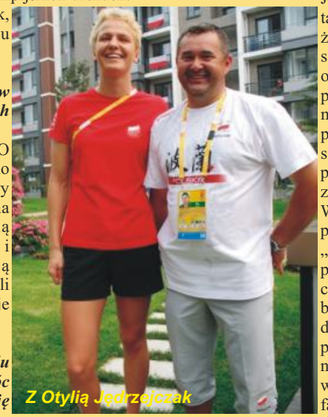

Z Otylią Jędrzejczak

Paulina Borowiak: Co zostało w Pana pamięci po Igrzyskach Olimpijskich?

Henryk Jurzak: W pamięci po IO w Pekinie utkwiło mi to, że mimo trwania Igrzysk na świecie trwały konflikty zbrojne. Ludzie na terenach dotkniętych wojną zamiast się cieszyć pokojem i emocjonować rywalizacją najlepszych z najlepszych musieli stawić czoło obawie o życie swoje i swoich bliskich…

P. B: Olimpiada to cel wielu sportowców. Jakie to uczucie móc oglądać z bliska rywalizację „najlepszych z najlepszych"?

H. J: Tu od razu wyjaśnię kwestię nazewnictwa: Olimpiada potocznie określa Igrzyska Olimpijskie, czyli spotkanie raz na czterolecie mistrzów w zawodach o czempionat olimpijski, jednak Olimpiada to termin określający czas trwania czterech lat od zakończenia IO do otwarcia następnych IO. To tak na marginesie. Pierwszy raz w życiu było mi dane oglądać na żywo zmagania na Igrzyskach. Atmosfery im towarzyszącej nie da się porównać do niczego innego. Przekaz medialny ma swoje zalety, ale nigdy nie zastąpi fizycznego uczestnictwa w fetowaniu osiągniętych, a wcześniej założonych przez zawodnika i jego sztab szkoleniowy, celów. Jednak proszę pamiętać, że w sporcie ze zwycięstwa cieszy się tylko jeden.

P. B: Co najbardziej Pana zaskoczyło podczas Igrzysk Olimpijskich?

H. J: Ceremonia otwarcia i stadion olimpijski. Momentu wejścia na płytę stadionu w chwili, gdy na żywo z trybun ogląda Cię 300 000 par oczu i „troszkę" więcej przed TV, nigdy nie zapomnę. Przeżycie niesamowite. Zaskoczyli mnie też sami Chińczycy, którzy co prawda zapowiadali, że zwyciężą w klasyfikacji medalowej, jednak z niedowierzaniem patrzyłem, jak co dzień złotych medali im przybywało…

P. B: Chińczycy dołożyli wszelkich starań, by te Igrzyska były wyjątkowe. Czy naprawdę wszystko było tak perfekcyjnie przygotowane?

Z Agnieszką Radwańską

H. J: Gospodarze Igrzysk postarali się tak, jak tylko mogą postarać się ludzie żyjący w państwie totalitarnym. Wszystko było perfekcyjnie przygotowane do niewyobrażalnych szczegółów. Jednak zawsze znajdą się tacy, którym przeszkadzało, że w bezpośrednim sąsiedztwie wioski olimpijskiej nie było przez pierwsze dni stałych mieszkańców, dopiero na piaty, szósty dzień pojawili się ludzie w wieku poprodukcyjnym. Nie zdążono z „zalesianiem". Wszędzie było widać pięciometrowej wysokości „drzewa". Chroniono je przed wywróceniem się cokołem z palików, które były jeszcze w pierwszych dniach Igrzysk poprawiane…Gospodarze nie trafili również z czasem wyłączenia trujących fabryk. Dopiero w piątym dniu po niespodziewanej 3 godzinnej burzy (dokładnie ścianie wody) młodzi mieszkańcy Pekinu chodzili z podniesionymi czołami, gdyż prawdopodobnie pierwszy raz widzieli czyste niebo bez smogu…

P. B: Podczas Olimpiady bardzo dużo mówiono o łamaniu Praw Człowieka w Tybecie przez rząd chiński. Dyskutowano o tym na Igrzyskach, czy raczej unikano tego tematu?

H. J: Nie zetknąłem się podczas oglądania chińskiej TV ani w żadnym innym przypadku z tematem łamania praw człowieka w Tybecie. Karta olimpijska pod groźbą dyskwalifikacji i odebrania medalu zakazuje zawodnikom w czasie trwania zawodów olimpijskich jakiegokolwiek manifestowania poglądów politycznych.

P. B: Chiny to inny świat, tam wciąż panuje komunizm. Czy spotkał się Pan z jakimiś utrudnieniami wynikającymi z tego faktu?

H. J: Nieliczne sytuacje budziły moje zdziwienie. Może ta, kiedy po przejechaniu taxi 10 km (co kosztowało w przeliczeniu 3 złote), chciałem dać kierowcy napiwek, a ten zdecydowanie odmówił i nie pozwolił sobie zatrzymać kilku juanów reszty. Pod koniec IO się to już zmieniło… a poważnie, uczestnicy IO byli dosłownie odcięci od normalnych mieszkańców, w czasie każdej eskapady „do miasta" „niezauważenie" towarzyszyło nam kilku „ochroniarzy". Było to podyktowane względami bezpieczeństwa, ale czy tylko?

P. B: Jak Chińczycy traktowali przybyłych do ich kraju gości?

H. J: Chińczycy z pozoru to bardzo gościnni, roześmiani ludzie, a jak jest naprawdę? Na poznanie tych ludzi potrzeba by było trochę więcej czasu. W czasie dochodzenia do stadionu olimpijskiego w czasie otwarcia Igrzysk wielki tłum wiwatował i pozdrawiał przybyłe reprezentacje poszczególnych narodów.

P. B: Chiny słyną z przepięknych zabytków. Czy w wirze zajęć znalazł Pan czas, by móc je podziwiać?

H. J: Tak, obejrzałem Ogrody Cesarskie odrestaurowane specjalnie z okazji Igrzysk. Chiński mur na żywo nie zrobił na mnie szczególnego wrażenia (taxi ze stolicy- 130 km tam i z powrotem –kosztuje po przeliczeniu 150 zł). Jednak największe wrażenie zrobiły na mnie obiekty i areny olimpijskie wybudowane z ogromnym rozmachem i mam nadzieję, że przyczynią się do tego, że w przyszłości staną się wizytówką zmian, które niechybnie państwa środka dzięki IO 2008 nie ominą…

Pozdrowienia dla wszystkich czytających…
Spełniajcie swoje marzenia…
Aż osiągniecie założony szczyt szczytów niezależnie co nim będzie…
Henryk Jurzak

rozmawiała Paulina Borowiak

Z Bogdanem Wentą

Tu historia działa się naprawdę cz. II

„RZYMÓWKA" W RZYMÓWCE?

Tragedia powodzi z roku 1977 do dziś żyje w pamięci mieszkańców. Wszyscy maksymalnie się zmobilizowali, ewakuowali sprzęty, rzeczy, zwierzęta … Nie uratowano życia J. Skulskiej, a jej mąż uważał, że musi żyć z piętnem niesłusznie ocalonego życia. To był ogromny wstrząs dla mieszkańców ale i szok dla władz województwa legnickiego, które intensywniej zaczęły myśleć nad zbiornikiem retencyjnym na tym obszarze. W zakresie założeń planistycznych sprawa nie wyglądała najgorzej. Konkretni mieszkańcy Rzymówki otrzymali pisma urzędowe praktycznie zabraniające nie tylko działań inwestycyjnych, lecz także modernizacji i remontów.

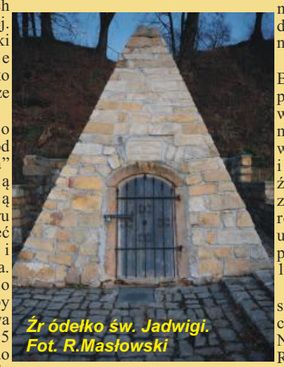
Źródełko św. Jadwigi. Fot. R.Masłowski

13 IX 1988 r. przyjęto techniczne warunki inwestycji pod nazwą: Zbiornik „Rzymówka" skojarzony z eksploatacją kruszywa. Kruszywem są udokumentowane pokłady żwiru (22,7 mln m^3). Zbiornik miał mieć 58,10 mln m^3 pojemności i zajmować powierzchnię 460 ha. Zapora miała powstać koło Krotoszyc, a następstwem byłoby zalanie doliny Kaczawy od Kozowa do Krotoszyc (53 zagrody, 95 rodzin, 322 osoby przewidziano do ewakuacji). Odbywały się spotkania z mieszkańcami Rzymówki, dla których aż 206, żyjących w 59 rodzinach i gospodarujących na 33 zagrodach sprawa ta miała żywotne znaczenie: ewakuacja, wykup ziemi itp. Inwestorem naczelnym miała być Okręgowa Dyrekcja Gospodarki Wodnej we Wrocławiu, a zastępczym – Zielonogórska Kopalnia Surowców Mineralnych w Zielonej Górze. Koszt inwestycji oszacowano na 21.082,00 mln zł (wg cen z 1988 r.)

W związku z dynamicznym rozwojem Legnicko – Głogowskiego Okręgu Miedziowego woda miała osiągnąć I klasę czystości i stanowić zarazem źródło wody pitnej dla tej konglomeracji. Z produkcji energii elektrycznej zrezygnowano z uwagi na „niewielkie przypływy roczne".

Z analizy dokumentacji wynika, że już w roku 1989 w planie realizacyjnym zaczęło coś szwankować. Dowodem może być zapis w protokole z rozprawy administracyjnej w dn. 13 IX 1989: „jeśli inwestor nie rozpocznie prac w roku 1990, Urząd Miasta i Gminy będzie wydawał zgodę na drobne remonty". Podtrzymano wprawdzie zakaz o inwestycjach i większych remontach, jednak w takim postawieniu sprawy wyczuwa się daleko posuniętą ostrożność i asekurację. A ludzie czekali, czekali …

Raport z roku 2005: Rada Gminy Złotoryja przyjmuje uchwałę w sprawie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego: powstanie suchy zbiornik pod nazwą „Rzymówka". Ewakuowane mają być jedynie dwie rodziny mieszkające między Wysockiem a Rzymówką (z wywiadu Marii Leśnej, wójta gminy, dla red. „Konkretów" z 18 V 2005).

ŹRÓDEŁKO ŚW. JADWIGI

Niezależnie od tego, że św. Jadwigę, żonę Henryka I Brodatego uznano za patronkę pojednania między narodem polskim i niemieckim oraz za patronkę Śląska, aż 4 kościoły w powiecie złotoryjskim (wg podziału administracyjnego z 1999 r.) noszą imię św. Jadwigi: Złotoryja, Sokołowiec, Prusice, Wysocko. W trzech innych miejscowościach, a wszystkie znajdują się w obrębie gminy Złotoryja, są źródełka, które także, według tradycji ustnej, nazwano „źródełkami św. Jadwigi": Rzymówka, Jerzmanice-Zdrój, Rokitnica. Wprawdzie w Jerzmanicach-Zdroju i w Rzymówce miejsca źródełek oznaczono niemieckimi napisami mówiącymi, że są to „źródełka skalne" (Felsenquelle) ale wynika to z wysoce prawdopodobnego faktu, iż od czasów reformacji, kiedy Ziemia Złotoryjska wyznaniowo stała się prawie zupełnie protestancka, byli mieszkańcy Jerzmanic i Rzymówki poczuli się zwolnieni z obowiązku czczenia i upamiętniania katolickiej świętej (w Rokitnicy brak oznaczenia źródełka). Napis na piramidzie w Rzymówce ustalono na podstawie rozmowy z mieszkańcem Chojnowa, Michałem Milnikowiczem, który twierdził stanowczo, że napis na tabliczce z piaskowca brzmiał: „Felsenquelle" … była też data, której nie zapamiętał (tabliczkę w Rzymówce zerwano w nieokreślonym czasie). Mieszkańcy wsi, w związku z obchodami milenijnymi, postanowili odrestaurować tabliczkę. Przyjęto, żeby w tych konkretnych okolicznościach, napis na tabliczce był dwujęzyczny i brzmiał następująco:

W 1211 roku Jadwiga i Henryk Brodaty na pewno byli w pobliskim zamku w Rokitnicy i tu w tym roku nadali Złotoryi prawa miejskie. I jeśli Jadwiga, już wówczas uważana za świętą, istotnie przystanęła nad źródełkiem w Rzymówce i zaczerpnęła z niego wodę, to rokiem, w którym mogła to uczynić, z najwyższym prawdopodobieństwem, jest rok 1211.

Moja śp. babcia Florentyna swoim śląskim żargonem mawiała często: „woda ma winne smaki". Nie znała, niestety, źródełka w Rzymówce, gdyż wtedy jej powiedzenie byłoby chyba bardziej rozwinięte. Marian Mróz, mieszkaniec Rzymówki od roku 1947, ojciec dwóch nadobnych có r i trójki synów, chyba wie co mówi, kiedy zachęca mężczyzn, żeby z tego źródełka koniecznie popijali, ponieważ „znakomicie pomoże im to w spełnianiu rozlicznych obowiązków małżeńskich". Może się więc okazać, że przyszłością Rzymówki będzie nie „wielka woda", lecz maleńkie źródełko.

SZKOŁA

Pierwsza szkoła w Rzymówce powstała najprawdopodobniej pod koniec XVIII w. Liczba uczniów w okresie międzywojennym nie przekraczała 30 (m. 28 a 30). Szkoła była wyznaniowa (protestancka); w roku 1928 odnotowano 6 uczniów wyznania rzymskokatolickiego.

Jednym z najpilniejszych zadań, jakiego po II wojnie musiało się podjąć państwo polskie na tzw. „ Ziemiach Odzyskanych", było ustanowienie systemu szkolnictwa. Uruchomienie polskiej szkoły zależało wówczas „nie tylko od liczby dzieci w wieku 7 – 14 lat ale głównie od stanu technicznego budynku, mieszkania dla nauczyciela, od stanu wyposażenia, lecz przede wszystkim od możliwości zatrudnienia nauczyciela". Warunki bazowe i materialne działalności pierwszej szkoły w Rzymówce były z pewnością ubożuchne. Ale atmosfera tych pionierskich lat nigdy się już nie powtórzy. Ludzie cieszyli się z najdrobniejszego osiągnięcia i sukcesu, a nade wszystko z tego, że wojna się skończyła, że żyją, że mają polską szkołę, że mogą się w niej uczyć; zakładali kluby sportowe, zespoły artystyczne, odnawiali świątynie … O polityce, o partii prosty człowiek nie myślał, bo chciał głównie żyć, żyć jak człowiek, jak człowiek wolny, bez bata okupantów.

Przed szkołą w Rzymówce (1951) Od lewej: S.Godyń, J.Domagała (dziecko), M.Mróz (dziecko), M.Mróz, W.Godyń, W.Kołodziej, A.Nowakowska, H.Woźnicka, W. Groński, J.Kuryjańska (kier. szkoły), T.Lizoń, A.Litwa, St.Nowakowski, Tomasik, M.Nowakowska, Sz.Koza, Br.Wójcicki, D.Woźnicki (fot. zbiory SP Rokitnica)

W opracowaniu K. Stysia, inspektora oświaty w Złotoryi w l. 1959-66, znajdujemy jakże optymistyczną informację o tym, że osadnicy, a szczególnie sołtysi, aktywnie włączali się do organizacji szkół. W Rzymówce był to m.in. późniejszy sołtys, Władysław Chrobak. Dzięki energicznym staraniom otwarcie Szkoły Podstawowej w Rzymówce nastąpiło 18 X 1946 r.; działała do 31.VIII.1974r.

Na podstawie dzienników lekcyjnych M. Orłowski stwierdził, że w historii Szkoły Podstawowej w Rzymówce placówką tą kierowało dwóch dyrektorów: Józefa Kuryjańska (1946 – 69) i Józef Markowski (1969 – 74).

RIEMBERG i RZYMÓWKA

Dokumenty dotyczące okresu przedwojennego wskazują jednoznacznie, że podstawowym rodzajem zatrudnienia ludności była praca na roli – we własnym gospodarstwie lub majątku właściciela

Budynek SP w Rzymówce przed r. 1969. Foto zbiory SP Rokitnica.

ziemskiego (baronów). Jednakże te same dokumenty dowodzą, że w XIX wieku (prawdopodobnie niektóre o wiele wcześniej), pojawiają się nowe formy zatrudnienia (zajęć) i własności. Chronologicznie uzyskujemy następujący przegląd:

-1841: istnieje fabryka mączki kostnej, wykazany jest browar, o którym napisano, że jest „znaczący"

- 1845: na Kaczawie czynne są dwa młyny wodne, prowadzą działalność dwie karczmy, działalność prowadzi 11 rzemieślników,

- przed II wojną: istnieje masarnia wiejska (też pewnie istniała o wiele wcześniej) - do kowala trzeba było fatygować się do Wysocka.

Powyższe wyszczególnienie nie służy absolutnie czynieniu porównań ze współczesnością. Inne teraz czasy, inne potrzeby, inne uwarunkowania. Presja „tymczasowego pobytu" na Ziemiach Zachodnich okresu powojennego, a później długie oczekiwanie na „wielką wodę" i likwidacja PGR-u, odcisnęły swoje negatywne piętno na współczesnym wizerunku Rzymówki A.D. 2008.

Ale na to byli mieszkańcy Rzymówki, jeśli kiedyś odwiedzą ich Riemberg uwagi zwracać nie będą. I w Niemczech jest bezrobocie, które oni uznają za duże, zamykają małe szkoły, zanikają stare zawody i rzemiosła. Będą natomiast porównywać to, do czego przez pokolenia byli wdrażani poprzez przysłowiowy „dryl pruski", przez co stało się to ich przyzwyczajeniem i drugą naturą: czystość, porządek na zagrodzie i drodze. W tym sensie mydło i miotła mogą się stać nawet argumentem politycznym. Nie pozwólmy na to.

WIELKI KŁOPOT Z NAZWĄ MAŁEJ WSI

Kłopot z interpretacją nazwy wynika z trzech powodów. Po pierwsze: pierwsze nazwy starych osad były łacińskie. Tymczasem nie natknięto się na żadną łacińską nazwę wsi, która stanowiłaby nawiązanie do niemieckiego Riembergu, czyli wzgórza lub góry kogoś lub czegoś, jak np. w przypadku Złotoryi: Aureus Mons - (łac.) Goldberg -(niem.) - Złota Góra (Złotoryja). Po drugie: niemiecki Rieberg jest pewnie nazwą odosobową i topograficzną i być może na pobliskim wzgórzu (Berg) mieszkał i tworzył jakiś rymarz (niem. Riemer), pełniąc służebną rolę wobec książęcego zamku w Rokitnicy i okolicznej ludności. Po trzecie: Rieberg wcale nie musi być pierwszą i najstarszą nazwą. W dziejach bardzo starych miejscowości, a z taką mamy do czynienia, zdarzało się, że przybyli osadnicy niemieccy tłumaczyli zastaną nazwę polską (słowiańską) na ich język, a po drugiej wojnie znowu na... polski. Tak więc pierwotną nazwą zwyczajową mogła być jeszcze w czasach czeskich jakaś „ Rimařowa Hora", która stała się Riembergiem, a po drugiej wojnie, działająca pod presją czasu komisja nazewnicza wpadła na pomysł Rzymówki, ponieważ komuś z członków mogła ona zabrzmieć (lub pomylić się) z Rzymianami („Römer" i „Riemer" nie wszyscy potrafią fonetycznie odróżnić).

PAŁAC

Niegdyś był własnością zamożnych barońskich rodów, między innymi Richthofenów (oni nadali pałacowi obecny wygląd razem z parkiem pałacowym). W czasie wojny był siedzibą Hitlerjugend. Tuż po wojnie siedzibą UB, a później kierownictwa PGR. Tu także przebywali na zgrupowaniach polscy bokserzy za czasów świetności „papy Stamma". Obecnie mieszkają w nim zwyczajni ludzie – niestety w większości bezrobotni. Czy to sprawiedliwość dziejowa, czy złośliwy chichot historii?

RWE – UB – I ARMATY

Posiadanie radia było zaraz po drugiej wojnie niemal luksusem, a polskie „Pioniery" były chlubą kraju. Słuchanie radia mogło jednak przysporzyć problemów, jeśli nastawiło się odbiornik na „niewłaściwą stację". W Rzymówce tak się zdarzyło, że posiadacz pierwszego radia Michał Lizoń, nastawiał na taką stację, która „podawała wiadomości dobre czy złe ale zawsze prawdziwe", a których wysłuchiwali również sąsiedzi. Nie uszło to uwadze czujnych funkcjonariuszy UB. Wezwany na rozmowę Michał Lizoń wrócił do domu... po pół roku, zaś Władysław Mróz sprytnie wywinął się oświadczając, że „jako artylerzysta ma uszkodzony słuch i nie mógł słyszeć co tam gadają".

WYJECHANI

Kasia Hec: Kiedy wyjechałeś za granicę i co Cię do tego skłoniło?

Marcin Litwa: Po raz pierwszy wyjechałem do Wielkiej Brytanii w czerwcu 2002 roku, kiedy to mój znajomy zaprosił mnie na zawody, na żużlu. Odbyły się one w stolicy Walii - Cardiff na stadionie Millenium. Do tej pory mile wspominam ten wyjazd. Niedługo po powrocie do kraju kolega ponownie mnie zaprosił do siebie, tylko że tym razem już na dłuższy okres.

K.H.: Jak żyje się na obczyźnie?

M.L.: Na początku było ciężko, gdyż nie znałem języka angielskiego. Bardzo tęskniłem za rodziną, znajomymi oraz narzeczoną. Jednak już po dwóch miesiącach narzeczona była ze mną i wszystko się zmieniło – na lepsze. Pracowaliśmy razem w wielu miejscowościach w Wielkiej Brytanii i wykonywaliśmy różnego rodzaju prace. Nie ukrywam, że zacząłem swoją „karierę" od zmywania naczyń, po czym sprzątałem pokoje hotelowe, jak również biegałem z tacą po restauracji - obsługując gości hotelowych.

K.H. Czy człowiek z małej Rzymówki może osiągnąć „coś" w wielkim świecie?

M.L. Myślę, że tak. W Polsce nie osiągnąłbym tego co w WB w tak krótkim czasie. Tam, po około 4 latach z moim polskim wykształceniem zawodowym zostałem managerem (czyli kierownikiem) w jednym z działów w naszym hotelu (Hilton – przyp. red.). Obecnie pracuję w swoim zawodzie, jestem elektrykiem, z czego jestem bardzo zadowolony.

K.H. Czy zamierzacie wrócić do Polski?

M.L. Odpowiedzi na to pytanie jeszcze nie znamy. Nadal mamy swoje korzenie w Polsce, jednak z każdym rokiem coraz więcej łączy nas z WB. Niedawno zostaliśmy z żoną rodzicami – syn urodził się na wyspach, mamy tam swoje mieszkanie, przyjaciół i pracę, która pozwala na godne i wygodne życie. Jednak wciąż tęsknimy za najbliższymi, za Polską, no i ta angielska pogoda – trudno do niej przywyknąć.

MARYNARZ Z RZYMÓWKI

Marcin Hec: Skąd pomysł na zostanie marynarzem?

Adam Jaśków: Jak wszyscy musiałem wybrać jakiś zawód. Zainspirowała mnie gazeta „Morze", która wpadła mi przypadkowo w ręce. Wydawało mi się, że będzie to ciekawe, pełne przygód zajęcie. I tak się stało. W 1977 roku rozpocząłem naukę w Liceum Morskim w Szczecinie. Trzeci rok edukacji i to 12 miesięcy praktyki na morzu. Pływałem wtedy za śmieszne dziś pieniądze -25 centów/h. Po ukończeniu szkoły, w 1981r. rozpocząłem pracę w Polskiej Żegludze Morskiej.

M.H.: Ile lat pracuje Pan na morzu? Na jakich statkach, pod jaką banderą, w jakim stopniu?

A.J.: Pracę rozpocząłem w 1981 roku i nadal jestem czynny zawodowo. Obecnie pracuję na statkach - masowcach, z dźwigami - jestem operatorem jednego z nich. Pływam pod banderą Cypru w stopniu starszy marynarz. Jest to praca na kontraktach.

M.H.: Jakie kraje Pan odwiedził , który był najbardziej interesujący?

A.J.: Oprócz Japonii i Nowej Zelandii zwiedziłem wszystkie porty na świecie. Najciekawsze, to te z dużą ilością Polonii, dzięki której można przez chwilę poczuć się jak w domu, to porty brazylijskie. Poza tym każdy zakątek świata jest inny i ma do zaoferowania dużo pięknych, oryginalnych i ciekawych miejsc. Ciężko więc wybrać ten jeden - najlepszy, najbardziej

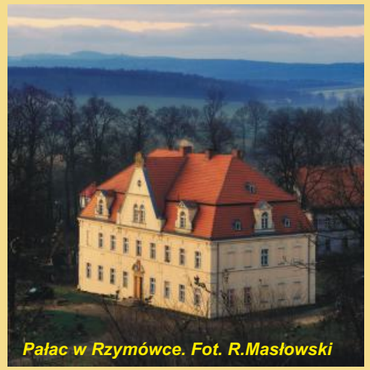
Pałac w Rzymówce. Fot. R.Masłowski

interesujący.

M.H. Czy podczas pracy na statku miało miejsce jakieś interesujące wydarzenie, które Pan wspomina?

A.J.: Pamiętam, jak pewnego razu na środku oceanu „wyłowiliśmy" kajakarza. Sytuacja była dość dramatyczna. Jak się później okazało, był to Niemiec, który miał ambitny plan przepłynięcia kajakiem z Bostonu do Anglii. Niestety cel nie został osiągnięty, jego podróż trwała 30 dni. Po 12 godz. dryfowania wciągnęliśmy go na pokład naszego statku. Ciekawe było również to, że był to człowiek, którego dziadek był rodzonym bratem generała Romla.

M.H.: Jak to jest wrócić z „ wielkiego świata" do małej Rzymówki?

A.J.: Zawsze z wielkim utęsknieniem- nie ma nic piękniejszego na świecie. Tutaj jest mój dom, moja rodzina. Jednak po dłuższym pobycie na lądzie pojawia się iskra – chęć ruszenia w morze….

M.H. No, to życzę stopy wody pod kilem podczas kolejnego rejsu.

ROZMOWA Z TATĄ

Katarzyna Hec: Podobno byłeś najmłodszym osadnikiem?

Marian Mróz: Może nie najmłodszym, ale pamiętającym trochę tamte czasy. Jechaliśmy z Nowego Sącza do Złotoryi pociągiem towarowym przez 2 tygodnie . To, co pozostało w mojej pamięci, miałem wtedy 4 lata- jechaliśmy jak Kargule i Pawlaki w wagonie towarowym razem ze zwierzętami na stojąco, podczas postoju wynoszono z wagonów piecyki i gotowano posiłki, a my (dzieci) w tym czasie biegałyśmy po torach i chowałyśmy się pod wagonami.

K.H.: Jak wyglądała Rzymówka w oczach dziecka, co było ciekawe?

M.M.: Dla dorastającego chłopaka wszystko było ciekawe. Zacząłem chodzić do szkoły, były srogie zimy, jeździliśmy z kolegami na nartach, łyżwach bo były takie mrozy, że Kaczawa zamarzała. Tu pierwszy raz zobaczyłem traktor Lunz Buldog. W latach 50-tych w pałacu zorganizowany był obóz bokserski-najprawdopodobniej była to kadra narodowa z Feliksem Stammem. Chodziłem z rodzicami na sparingi bokserskie. To było wielkie wydarzenie.

K.H.: Co było później?

M.M.: W 1956 roku po zwycięstwie w Wyścigu Pokoju Stanisława Królaka, postanowiłem, że zostanę kolarzem. Miałem wtedy trzynaście lat i swój własny rower. W tym czasie każdy chłopak marzył o tym, żeby wystartować w Wyścigu Pokoju. Następnie była służba wojskowa, założenie rodziny, praca w SKR, w OSP, następnie zaangażowałem się w życie społeczne: byłem dwie kadencje radnym GRN w Rokitnicy, radnym wojewódzkim, sołtysem, radnym Rady Gminy Złotoryja….jednak nigdy nie przestałem jeździć rowerem.

K.H.: Największe osiągnięcie sportowe?

M.M.: Zdobyłem 14 miejsce w Pucharze Świata w Austrii w 1993 roku. Jestem dwukrotnym wicemistrzem Polski w przełaju, brązowym medalistą w górskich Mistrzostwach Polski. Moim największym jak dotąd osiągnięciem jest udział w pielgrzymce rowerowej z Rzeszowa do Rzymu, którą odbyłem w 2007 roku. Trwała ona 12 dni i przejechaliśmy 2 tysiące kilometrów.

K.H.: Kolarstwo: pasja, przygoda, sposób na życie?

M.M.: Tak. Dla mnie kolarstwo to właśnie pasja, przygoda, i sposób na życie.

K.H. Od ilu lat jeździsz na rowerze?

M.M: Na rowerze jeżdżę od 1956 roku tj. 52 lata, w tym wyczynowo 30 lat. Kulę ziemską objechałem co najmniej cztery razy- ale na tym nie koniec.

K.H.: Pasją kolarstwa próbujesz „zarazić" innych, czy się udało?

M.M.: Czy mi się udało? Myślę, że tak. Moich trzech synów, a Twoich braci, jeździło na rowerze wyczynowo. Na razie wzięli „urlopy dziekańskie",. Rekreacyjnie jeździ moja żona, dwie córki, zięć, dwóch wnuków. W 2000 r. założyliśmy Kolarski klub Sportowy „ Moto- Mróz" w Rzymówce, w którym przygodę z kolarstwem zaczynał Wojtek Podobiński, obecnie członek reprezentacji narodowej. Do Klubu należy teraz 4 mastersów i czterech młodzików.

K.H.: Skąd bierzesz fundusze?

M.M: Od sponsorów, którzy popierają kolarstwo. Uprawianie sportu jest kosztowne. Bez pomocy sponsorów nie byłoby to możliwe. Najbardziej wspierają nas : Starostwo Powiatowe w Złotoryi, Urząd Gminy Złotoryja, INKOBUD pana Włodzimierza Kowalczyka, Przedsiębiorstwo Transportowo-Budowlane pana Antoniego Chamskiego, Pan Andrzej Kowalski ze Złotoryjskiego Towarzystwa Tradycji Górniczych. Dziękujemy im za to serdecznie i liczymy na dalszą owocną współpracę.

K.H.: Rowerowe plany na przyszłość?

M.M. : Moim marzeniem jest odbycie kolejnej pielgrzymki rowerowej, tym razem do Fatimy. Trasa do przebycia to aż 4500 km. Jest to kosztowne przedsięwzięcie i jeżeli nie uda mi się zebrać wystarczających funduszy na ten cel, to chciałbym pojechać „chociaż" na mistrzostwa świata w Austrii.

Rozmowa z sołtysem –ojcem

Katarzyna Lizoń: Czy wiesz, kto był pierwszym osadnikiem w Rzymówce?

Władysław Lizoń: Z opowiadań moich rodziców i sąsiadów wynika, że jednym z pierwszych był między innymi mój nieżyjący już ojciec Michał. Przybył tu w 1946r., kiedy ludzie przybywali do Rzymówki, bardzo często zatrzymywali się w domu mojego ojca, który ich chętnie gościł, aby pomóc w trudnych początkach.

K.L.: W którym roku zostałeś wybrany sołtysem?

W.L. Funkcję sołtysa pełnię od 2002 roku, czyli już

ciąg dalszy na stronie 18.

ciąg dalszy ze strony 17.

drugą kadencję.
K.L.: Dlaczego zdecydowałeś się nim być?
W.L.: Wcześniej sołtysem była moja żona – Wiesława Lizoń- zrezygnowała, więc postanowiłem spróbować swoich sił startując w wyborach. Dzięki zaufaniu mieszkańców zostałem sołtysem.
K.L.: Czego dokonałeś podczas swojej kadencji?
W.L. W czasie swojej kadencji wspólnie z mieszkańcami wsi oraz przy pomocy Urzędu Gminy Złotoryja zorganizowaliśmy obchody 1000-lecia Rzymówki i pierwsze Dożynki Gminne w historii wsi. Startowaliśmy również w konkursie na najładniejszą wieś. Za pierwszym razem zajęliśmy 3., a następnie 2. miejsce.
K.L.: Jakie są Twoje dalsze plany związane z Rzymówką?
W.L.: Potrzeb jest wiele, ale uważam, że w pierwszej kolejności należy umożliwić mieszkańcom podłączenie Internetu, założenie kanalizacji we wsi oraz ażeby plany w związku z suchym zbiornikiem „Rzymówka" zostały uregulowane. Dużym problemem jest komunikacja. W obecnej chwili do wsi dojeżdża tylko autobus szkolny.

Najstarsza mieszkanka wsi
Agnieszka Lizoń: Pani jest najstarszą mieszkanką wsi.
Anna Jaźwa: Tak, 3 września skończyłam 87 lat. Doczekałam się 9 wnuków, 16 prawnuków, a niedawno urodził się mój pierwszy pra-pra wnuk.
A.L.: Skąd Pani przybyła i dlaczego?
A.J.: Długo szukaliśmy swojego miejsca. Przyjechaliśmy z Kresów w 1946 roku i osiedliśmy w województwie wałbrzyskim, pomagaliśmy tam w gospodarstwie. Następnie mieszkaliśmy w Gniewomierowicach. W 1956 roku mąż dostał propozycję pracy w Rzymówce i to był powód zamieszkania w tej miejscowości. Był stelmachem. Od 13 lat jestem wdową. Rzymówka stała się moim zakątkiem na ziemi.
A.L.: Jak żyli tu ludzie? Jak układały się relacje między nimi?
A.J.: Czasy powojenne były bardzo trudne. Zdobycie środków do życia nie było tak łatwe jak dziś. Musieliśmy ciężko pracować. Ludzie przybywali tu z różnych stron. Ale mimo to wszyscy byli bardzo przyjaźni, pomagali sobie nawzajem. Nie było większych konfliktów.
A.L.: Czy wtedy w Rzymówce był sklep, lekarz?
A.J.: Zakupy robiliśmy w prywatnym sklepie Państwa Korbasiów, do którego towar dowożony był

furmanką. Tam mogliśmy się zaopatrzyć w podstawowe produkty. Do lekarza trzeba było dojeżdżać do Złotoryi, a w późniejszym okresie został otwarty Ośrodek Zdrowia w Rokitnicy.
A.L.: Dziękuje za wywiad, życzę dużo zdrowia.

Nadzieja kolarstwa polskiego
Katarzyna Hec: Skąd pomysł na uprawianie kolarstwa? Nie chciałeś zostać strażakiem?
Wojtek Podobiński: Kolarstwem „zaraził" mnie mój wujek Marian Mróz, wcześniej próbowałem innych dyscyplin sportu ale ta spodobała mi się najbardziej.
K.H.: Jak układała się Twoja dotychczasowa kariera? - mogę tak powiedzieć - bo jesteś obecnie w kadrze narodowej?
W.P.: Trenuję od 1999 roku, z początku była to dla mnie zabawa, jednak od trzech lat jeżdżę zawodowo i traktuję ten sport poważnie.
K.H: Dotychczasowe największe osiągnięcie?
W.P.: 7 miejsce w Mistrzostwach Polski, 10 miejsce na czas, 1 miejsce w Pucharze Polski i również wygrana w klasyfikacji „generalnej" za rok 2008, miejsca w pierwszej 15 na wyścigach międzynarodowych rangi UCI.
K.H: To całkiem sporo. Gratuluję. A jakie masz plany – Londyn 2012?
W.P.: Moje plany w tym roku nie spełniły się w 100%, myślałem o Mistrzostwach Swiata -miałem dużą szansę pojechać, ale z powodu kontuzji, której doznałem w wyścigu na Ukrainie, miałem miesięczną przerwę i moja forma była słabsza. Moim życiowym planem jest start na olimpiadzie, następna za 4 lata, będę dążył, żeby to mi się udało.
K.H. Wierzę, że Ci się uda. Trzymam kciuki.

PLANY I NADZIEJE NA PRZYSZŁOŚĆ

Mieszkańcy Rzymówki liczą na to, że w najbliższym czasie miejscowość zostanie skanalizowana. Wciąż wiążą nadzieję na lepszy byt z planowanym do realizacji zalewem. Mógłby to być impuls do rozwoju wsi, może istniałaby możliwość jego turystycznego zagospodarowania. Na turystów można liczyć – od czasów obchodów Millenium Rzymówki, zaobserwować można, że w soboty i niedziele przyjeżdża tu sporo osób. Odwiedzają grodzisko, podziwiają źródełko i obelisk, a także często przyjeżdżają z pojemnikami i zabierają z sobą wodę źródlaną.

Kolejną szansą na rozwój wsi może być powstanie osiedla domków jednorodzinnych na górującym nad wsią wzniesieniu – mówimy na nie „Górka" lub „Marianówka". Co zapobiegliwsi rolnicy przekwalifikowali swoje grunty na działki budowlane. W 1999 r. Rada Gminy Złotoryja uchwaliła dla nich plan miejscowego zagospodarowania i doprowadzono tam wodociąg. Jeśli działki znajdą nabywców, ma szansę powstać tam blisko 30 domów. Teren jest bardzo urokliwy. Ze wzniesienia pięknie widać wzgórza sichowskie, Łaźniki, a nawet Śnieżkę.

Opracowali mieszkańcy Rzymówki:
Katarzyna Hec (Mróz), Marcin Hec, Agnieszka Lizoń, Katarzyna Lizoń, Urszula Rajczakowska (Mróz) oraz Alfred Michler

Bez pracy...

„Bez pracy nie ma kołaczy!" to staroświeckie powiedzonko znają nie tylko starsi, ale także uczniowie Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi. Niektórzy z nich poczuli potrzebę wykorzystania swojego wolnego czasu w inny sposób niż na zabawę i rozrywkę. Postanowili pójść do pracy. Niestraszne im ranne wstawanie, odpowiedzialność za swe czyny, ciężka praca i wykonywanie poleceń. Kim są ci młodzi śmiałkowie?

Przeprowadziłyśmy rozeznanie w naszej szkole, z którego wynika, że dużo osób podjęło się pracy wakacyjnej. Jednak tylko nieliczni i najbardziej wytrwali kontynuują ją w trakcie roku szkolnego. Jesteśmy przekonane, że bardzo trudnym zadaniem jest pogodzenie szkolnych obowiązków z zarabianiem pieniędzy. Stąd nasi rówieśnicy pracują tylko w weekendy. Przykładem jest koleżanka - Ola Pielach, która dorabia w ciastkarni. Zatrudniła się tam jeszcze w ubiegłym roku szkolnym, a dokładnie w czerwcu. To wszystko dzięki jej młodszemu bratu, który zauważył ogłoszenie, że poszukiwana jest osoba do pomocy w piekarni.

Ola z chęcią opowiedziała nam o swojej pracy: *Moją właściwą pracę poprzedziło kilka dni przygotowania, w których poznałam moje obowiązki, miejsce towaru w sklepie, obsługę maszyny do krojenia pieczywa.* Przyznała także, że było to bardzo czasochłonne. A co dokładnie należy do jej obowiązków*? Moja rola w sklepie nie ogranicza się do jednej czynności. Jestem osobą do pomocy, a więc wykonuję wszystko, co trzeba: wykładam pieczywo, później je kroję, obsługuję klientów, sprzątam itp.* Zasady jej pracy są ściśle określone. Obowiązuje ją między innymi strój roboczy. Nie może pozwolić sobie także na posiadanie długich paznokci oraz noszenie okazałej biżuterii. Ola zatrudniona jest na umowę - zlecenie, więc zaciekawiło nas, jakie zyski przynosi jej to zajęcie. Czy jest ono opłacalne i jak Ola wydaje zarobione pieniądze? *Zarabiam 5 złotych na godzinę, a więc moja dzienna stawka wynosi około 37 złotych. Jak dla mnie, to są kokosy-* śmieje się. *Zarobione pieniądze przeznaczam na swoje bieżące potrzeby, tym samym odciążam rodziców. Nie udało mi się jeszcze nic odłożyć, ale staram się. Według mnie taka kwota jest wystarczająca na początek.* Zaskoczył nas jednak fakt, iż mimo tak dużego wysiłku, Ola dostrzega zalety wykonywanej pracy. *Jestem bardzo zadowolona. Poznałam wielu uprzejmych ludzi, a także z dnia na dzień wzrasta moje doświadczenie i przygotowanie do pracy pełnoetatowej, która czeka mnie w przyszłości. Cieszę się, że zaczynam być samodzielna.*

Nie tylko Aleksandra stawia pierwsze kroczki w świecie ludzi pracujących. Udało nam się także porozmawiać z Pawłem Synowcem, który opowiedział nam swoją historię:
Trudno było mi znaleźć jakąkolwiek pracę, jednak udało mi się zatrudnić w sklepie ogrodniczym. Pracowałem w okresie wakacyjnym, a obecnie… to wiadomo, szkoła, poza tym nie ma takiej potrzeby, abym był tam co weekend. Paweł przełamał nasz stereotyp odnośnie pracy ogrodnika. Nie jest to zwykle sadzenie roślinek. Więc czym dokładnie się zajmuje?
Wypisuję faktury, roznoszę zboże i inne towary, składam półki. Robię to, co jest akurat potrzebne. Za to wszystko Paweł zarabia 6zł na godzinę. Dziennie pracuje od 8 do 10 godzin, ale zależy to tylko od niego. A czy zdecydował się na dodatkowy wysiłek z takich samych powodów jak Ola? Miał on jednak wyznaczony cel, do którego sumiennie dążył. *Nie wyjeżdżałem nigdzie przez całe wakacje, gdyż chciałem zarobić na wzmacniacz do gitary. Dodatkowo była to ważna lekcja życia, gdyż doceniłem wartość pieniądza. Wcześniej przeciekały mi przez palce, ale po tym, kiedy zobaczyłem, jak się ciężko zarabia, od razu zmieniłem nastawienie. Inaczej do tego podchodzę.*
Rozmowa z Pawłem uświadomiła nam, jak trudno znaleźć pracę dla młodych ludzi w Złotoryi. Urząd pracy nie ułatwia zadania młodym ambitnym. Pozostaje więc wybór- albo pracować „na czarno" albo zatrudnić się poprzez znajomości. Istnieje także opcja pracy „na strefie" w Legnicy. Jednak czy jest opłacalne tracić dodatkowe pieniądze na dojazdy?

Jesteśmy pełne podziwu dla tych wszystkich, którzy realizują swoje ambicje i chcą sami zarabiać na własne potrzeby. Mamy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości rynek pracy będzie bardziej przychylny dla takich ludzi jak Ola i Paweł. Wszystkim pracującym życzymy wytrwałości i wysokich zarobków.

Roksana Sobczyk i Joanna Staworzyńska

Dawno, dawno temu

Jak wieść niesie, dawno, dawno temu przez okolicę przejeżdżał książę, zauroczony pięknem krajobrazu prusickiego, kazał wybudować pałac z dala od zgiełku miejskiego - tak mówi legenda. Wieczorami przeglądałam w Internecie Encyklopedię Sztuki Polskiej, chcąc znaleźć pałac podobny do prusackiego. Przytoczone źródła nic nie ujawniły, obiekt był zbyt mały, aby go zauważyć i opisać. Puściłam w ruch wyobraźnię. Wyobraziłam sobie pałac 150 lat temu, w okresie swojej świetności. Rodzina Hochbergów zasiadała do stołu w jadalni, świeże powietrze wpadało przez wielkie okna, z fortepianu płynęła muzyka ówczesnych szlagierów (pewnie austriacko-niemieckich). Służba w eleganckich uniformach z gracją pełniła swe obowiązki. W upalne dni przed słońcem panny kryły się na balkonie o pięknej koronkowej balustradzie, stąd mogły obserwować park z ptaszarnią, w której, dumnie panował paw. Baron von Hoberg z zarządcą rozwiązywali sprawy dnia codziennego. Ale czy tak było?. Pewnie w mojej

wyobraźni...

Źródła historyczne podają, że w 1650 r. majątek był własnością barona von Hoberga (Hochberg), w 1674 r. należał do Johanna Sigmunta von Hoberga a w 1699 r. do barona Kaspara von Hoberg. Po przejęciu Śląska przez Prusy w 1742 r. urządzono w dworze ewangelicki dom modlitwy i szkołę. Właściciel baron Otto Konrad von Hoberg przekazał część pokoi na ten cel. W 1786 r. Prusice należą do barona Hansa Georga Hoberga. W 1813 r. dwór zostaje splądrowany przez Rosjan. W 1870 r. właścicielką Prusic Górnych jest podpułkownikowa von Lüttichau z domu również baronowa von Hochberg. Interesującą pamiątką tamtego okresu jest tablica umieszczona na ścianie obory: „Ta obora spaliła się 14 lipca 1841 roku i została odbudowana w 1841 przez Hrabinę von Lüttichau z domu baronów von Hochberg i dzięki baronowej Leokadii von Hochberg" na drugiej tablicy umieszczonej na frontowej ścianie można przeczytać, że ok. roku 1841-1842 (data nieczytelna, interpretacja własna) przebywał na terenie majątku jeniec belgijski Rene Effinier, który odbudowywał spaloną oborę" (tłumaczenie Anny Chrzanowskiej). Po 1945 r. pałac rozebrano i zbudowano blok dla pracowników. Architektoniczne pozostałości świadczą o minionej dostojności tej budowli, jaką była Villa Ober w Prusicach. Pałac jest dwuskrzydłowy. Plan budowy budynku oparty był na złączeniu pod kątem prostym dwóch nierównej wielkości brył w kształcie litery L, budynek posiada dwa ryzality trójkondygnacyjne (część budynku wysunięta do przodu na wysokości wszystkich kondygnacji). Dach jest wielospadowy z lukarnami (okienko w dachu, w ozdobnym obramowaniu). Okna południowe są proste, obramowane w kamieniu, wszystkie narożniki ozdobione wypukłymi kamiennymi płytami. Do pałacu prowadzą trzy wejścia (dwa gospodarcze od strony zachodniej i południowej).

Portyk (wejście główne) umieszczony jest u zbiegu obydwu skrzydeł. Ozdobiony fryzem (ząbki) i moreską (ornament płaszczyznowy ze splecionych wici roślinnych o silnie stylizowanych liściach i kwiatach w układzie symetrycznym wypełniającym szczelnie pole dekoracji). Wewnątrz budynku została ukształtowana sień mieszcząca stare schody w kształcie wachlarza, w ścianie nad schodami dwie blendy (wnęka, w której umieszczano rzeźbę) teraz świecą pustką. Po prawej stronie znajduje się okrągły korytarz i trzy ozdobne drzwi prowadzące do salonów. Wnętrze salonów wypełniają podłogi z parkietu, sufit z pięknego ciemnego drewna ze stropami, całość solidnie wykonana, sprawia wrażenie monumentalne. Po lewej stronie długi korytarz prowadzi do mieszkań. Budynek jest podpiwniczony.

Od wschodu do elewacji bocznej dostawiono

podcień w formie czterech arkad wspartych na filarach, dźwigających taras. Taras zmienił kształt w latach między 1900 - 1913 , został skrócony o jedną piątą. Wcześniej rozciągał się na całą elewację. Od strony południowej tuż za ryzalitem zewnętrzne schody zakończone balustradą prowadziły do salonu.

Ta wiejska posiadłość posiadała park z gamą drzew szlachetnych takich jak: dęby, buki, platanowce, lipy, modrzewie, jesiony, świerki. Niektóre drzewa zniszczył czas. Alejki spacerowe wraz z kamiennymi ławkami, otoczone kwiatami i kępami drzew, ogrodzone były stylowym ogrodzeniem z kutego żelaza. Na przełomie XVIII i XIX w. podstawową funkcją nowego typu ogrodu było stworzenie romantycznego naturalnego, czyli krajobrazowego otoczenia siedziby. Miał być coraz bardziej oazą naturalnej ciszy, spokoju, miejscem odosobnienia. Złączenie parku z otaczającymi polami uprawnymi doprowadziło do pełnej integracji pałacu, parku i natury.

Na obrzeżu parku znajdował się rodowy cmentarz rodziny Hobergów. Nieliczni mieszkańcy wspominają podziemne pomieszczenie (sarkofag), w którym znajdowało się kilka grobowców (7 lub 8) zabezpieczonych kamiennymi płytami, Rosły tam rzadkie drzewa: cisy, jawory. Do cmentarza wchodziło się przez bramę wykutą w murze (mur z cegły klinkierówki) oddzielającą park od zabudowań gospodarczych. Obecnie zdewastowane grobowce porastają chwasty. W folwarku nadal istnieją dwie bramy wjazdowe: pierwsza od strony zachodniej (koło szosy) w stronę Sichowa lub w kierunku Złotoryi. Południowa brama prowadziła przez park w kierunku Łaźnik. Pałac z elewacją frontową zwrócony został na północ, w stronę prostokątnego dziedzińca folwarcznego, gdzie znajdowały się budynki gospodarcze. Po drugiej wojnie światowej pałacowe komnaty zaadoptowano na pomieszczenia mieszkalne i magazynowe.

W zachodnim skrzydle była winda gospodarcza, która służyła jeszcze w latach 70. Jeden z mieszkańców wspomina, że jako chłopiec wchodził zewnętrznymi schodami do salonu, w salonie-magazynie stał fortepian nikomu niepotrzebny. W późniejszym czasie schody zostały rozebrane a drzwi- zamurowane. Na parterze w części południowej mieściły się izby mieszkalne, jednak były zbyt wilgotne i ciemne. Mieszkańcy opuścili je. W kolejnych latach przeznaczono je na biura PGR-u, na magazyny i garaże.

Pałac stanowił wówczas bazę mieszkalną, magazynową i kulturalną. W latach: 70-90 dwie komnaty na pierwszym piętrze wykorzystane były jako klubo-kawiarnia, sala balowa lub kinowa. To był dobry czas (wspominają mieszkańcy), tu skupiało się życie kulturalne, po ciężkiej pracy lub po zakończonych żniwach organizowane były zabawy, komunie, wesela, można było umówić się z dziewczyną do kawiarni. Iza -17 latka jeszcze dzisiaj z uśmiechem na twarzy wspomina zabawę mikołajkową.

Kino obwoźne wyświetlało filmy dla dzieci i dorosłych. Widownia zawsze dopisywała. W kawiarence, w jedynej na te czasy telewizji, oglądaliśmy filmowe hity tamtych czasów („Czterej pancerni i pies", „ Zorro", „Jacek i Agatka"...) - ze śmiechem opowiada pani Wiesia. Na parterze znajdowały się biura PGR -u i stołówka. W kuchni gotowano posiłki dla pracowników.

A teraz… W XXI wieku pałac to mieszkania i garaże. Pałac w Prusicach przeżywa obecnie klęskę - przegrał z czasem i brakiem gospodarności. Wiele pałaców po II wojnie światowej zdewastowano w wyniku zaniedbań ze strony użytkowników, coraz mniej przypominają czasy swojej świetności. Część z nich ma jeszcze szansę na uratowanie, ale z każdym dniem- coraz mniejsze. Czy uchronimy pałac od zapomnienia? To, co świadczy o przeszłości tej ziemi, jest dziedzictwem, historią!

Jana Kałuża

Źródła:
1.Gmina Złotoryja –dawniej i dziś , autor A.Michler
2.Mała encyklopedia sztuki polskiej
3.Powiat złotoryjski-Prusice /wrocław.hydral.com.pl/
4.Echo Złotoryi nr 10/2008

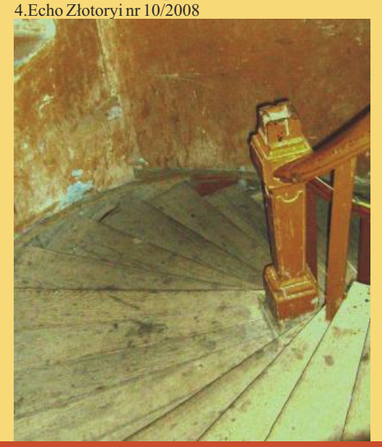

Europejskie Dni Dziedzictwa

W tym roku przebiegały pod hasłem „Korzenie tradycji. Od ojcowizny do ojczyzny". Dla TMZZ udział w tej imprezie nie podlegał dyskusji. Z pielęgnowanych tradycji wybraliśmy przede

Wystawa jadwiżańska

wszystkim nasze wielowiekowe związki ze świętą Jadwigą, Valentinem Trozendorfem, joannitami oraz młodsze korzeniami działania związane z Kresowianami i Drogą św. Jakuba.

Rozpoczęliśmy **12 września** w kościele św. Jadwigi otwarciem wystawy „Tradycje jadwiżańskie na Ziemi Złotoryjskiej". Pewne doświadczenie już mieliśmy, pomagając w urządzaniu ekspozycji z okazji czerwcowego nadania Szkole Podstawowej w Sokołowcu imienia właśnie Jadwigi śląskiej. Lecz nasza odpowiedzialność wynikała z faktu, że była to zapewne pierwsza taka wystawa w całej historii tego złotoryjskiego kościoła. Poparł nasze zamierzenia ks. Prałat marian Sobczyk, który podczas otwarcia wystawy zachęcał, abyśmy trwali przy tym dziedzictwie, reprezentując wszystko to, co w naszej kulturze autentyczne, humanistyczne i chrześcijańskie. Do 21 września codziennie witało więc odwiedzających kościół św. Jadwigi ponad sto różnych eksponatów z najcenniejszym XVIII-wiecznym Jej portretem, wykonanym niegdyś dla naszej świątyni. Nie zabrakło reprodukcji XIV-wiecznego Żywota św. Jadwigi, wielu jej wizerunków, przykładów lokalnych działań(np. Ścieżka św. Jadwigi, Rajdy Jadwiżańskie, Rajdy Czterech Świątyń, Rajdy Źródlane, Chór Parafialny, nadanie imienia szkole w Sokołowcu), znaczków pocztowych, kronik parafialnych, książek i albumów. Można było nieodpłatnie zaopatrzyć się w katalog wystawy i wydawnictwa związane z jej tematyką.

Wystawę zwiedziło w tych dniach kilkaset osób, przede wszystkim klasy szkolne z LO, Gimnazjum nr 2 i Szkoły Podstawowej nr 1 w Złotoryi pod opieką nauczycieli historii i księży katechetów, a także grupy ministranckie, indywidualni parafianie a także turyści, również z Niemiec. Za społecznie pełnione dyżury dziękujemy członkom Chóru Parafialnego: Teresie i Edwardowi Kopczakom, Marii Kałkus, Marii Kicińskiej, Julii Obuch, Marii

Podczas otwarcia wystawy jadwiżańskiej

Filipowicz, Kazimierzowi Rucie i Stanisławowi Sołtysikowi, aktywistom TMZZ: Janinie Swat, Alfredowi Michlerowi, Józefowi Banaszkowi, uczniom LO im. Jana Pawła II: Bartoszowi Kajorowi, Kacprowi Podobińskiemu, Krzysztofowi Karstowi, Łukaszowi Kubie, Piotrowi Lesikowi, Wojciechowi Pyrze, Łukaszowi Lindeckiemu, Jackowi Szczerbie i Przemysławowi Chudzińskiemu, ponadto Magdalenie Puciłowskiej, Grażynie i Annie Gorzkowskim oraz Miłoszowi Klepczyńskiemu. Wpisami w księdze pamiątkowej wyraziły swoje uznanie m.in. Siostry Służebniczki i wychowankowie Środowiskowego Domu Pomocy. Jedna z osób, wierząc że św. Jadwiga udziela swego błogosławieństwa i wszelkich łask, poprosiła o częstsze udostępnianie wiadomości na ten temat oraz innych świętych. Bez tej wiary nie zorganizowalibyśmy tej wystawy, a co do następnych…to może o św. Franciszku i jego współbraciach?

Tradycje jadwiżańskie były również tematem odczytu w tejże świątyni(**13 września**), który wysłuchało około trzydziestu osób, głównie jednak dorosłych. Miło nam było gościć Herberta Helmricha, członka władz Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej i Honorowego Członka TMZZ, którego rodzina zamieszkiwała niegdyś Ziemie Złotoryjską. Prelegent podkreślił osobiste i całkiem bezinteresowne angażowanie się św. Jadwigi, wywodzącej się przecież z wyżyn średniowiecznego społeczeństwa i księżnej, w różnorodne akcje dobroczynne. W żadnym przypadku nie chodziło Jej o PR (czytaj pijar).

W niedzielę **14 września**, przed kolejną imprezą, było w kościele św. Jadwigi chyba najbardziej

Inscenizacja w wirydarzu była mowa o złotych tradycjach

nerwowo. Wielką tremę miało zwłaszcza 23 aktorów, niecierpliwie oczekujących w różnych punktach świątyni i klasztoru, tam gdzie umieszczono odpowiednie plansze z fotografiami i datami. Ku naszej radości dopisała publiczność, wśród ponad pięćdziesięciu osób byli też rodzice wykonawców. Inscenizacja „Od Valentina Trozendorfa do klas dwujęzycznych w Złotoryi" miała ukazać korzenie kilku pielęgnowanych przez nas tradycji. W pierwszych trzech scenach wystąpili uczniowie LO: przy furcie klasztornej, gdzie widnieje napis *Munificentia S. Hedwigis (Szczodrobliwość św. Jadwigi)* Magdalena Poniatowska, Przemysław Chudziński i Marcin Pokrywka opowiedzieli o powstaniu miasta i nadaniu praw miejskich w 1211 r., w wirydarzu klasztornym Piotr Kieruzal i Piotr Lis przypomnieli dzieje średniowiecznego górnictwa złota i współczesnych złotych tradycji, przy wystawie w kościele Sandra Sobczyk i Natalia Klorek mówiły o życiu i zasługach św. Jadwigi. Następnie widzowie musieli wspiąć się na emporę organową, gdzie Agnieszka Gorgolewska i Anna Zazula z Gimnazjum nr l opowiedziały o wigilijnych śpiewach, a następnie z wysokości ambony Piotr Rybarczyk i Maciej Czapla ze Społecznego Gimnazjum Dwujęzycznego zapoznali zebranych z dziejami zakonu franciszkanów. W zakrystii kościoła pole do popisu mieli uczniowie tej samej szkoły: Helena Jaworowska, Justyna Zapłata, Pola Rajchel, Marta Grodzki, Darek Lachowski, Maciej Czapla i Piotr Rybarczyk a także Przemysław Chudziński z LO, dzięki którym usłyszeliśmy o gimnazjum Valentina Trozendorfa i klasach dwujęzycznych. Przed Pomnikiem Sybiraków Olga

Przy pomniku sybiraków

Żejc wzruszająco wspominała o swym syberyjskim zesłaniu a Danuta Sosa, Halina Sobota i Aleksander Borys podkreślili zasługi Kresowian dla powojennej Złotoryi. Na zakończenie, przy kapliczce słupowej, Grażyna Fiałkowska przedstawiła krótką relację ze swej wyprawy Drogą św. Jakuba w Hiszpanii a niżej podpisany przypomniał, że taki szlak biegnie również przez Ziemię Złotoryjską.

21 września 42 osoby wzięły udział w wycieczce *Śladami złotoryjskiej komturii joannitów*, którą poprowadził autor niniejszego tekstu. Większość uczestników stanowili uczniowie Szkoły Podstawowej nr 1 oraz Gimnazjum nr 1. Uliczką Joannitów dotarliśmy najpierw do tzw. Wieczernika Joannitów, urządzonego przez parafię p.w. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w pomieszczeniu dawnej kotłowni pod kościołem. Tam przewodnik przypomniał dzieje tego zakonu rycerskiego a także wręczył wydawnictwa TMZZ traktujące o historii miasta. Wycieczkowicze zwiedzili również wnętrze kościoła NNMP oraz wieżę widokową. Joannici opiekowali się kościołem Mariackim od XIII do XIX wieku. Dzisiaj symbol ich zakonu, czyli krzyże maltańskie zobaczyć możemy na XVI-wiecznym sklepieniu zakrystii, balustradzie studni oraz na współczesnych chorągwiach. Końcowym etapem wycieczki był spacer na tereny byłego majątku joannitów przy ul. Leszczyńskiej.

Wydaje się, że udało nam się wskazać źródła wielu współczesnych poczynań złotoryjskiej społeczności a może także zachęcić uczestników opisanych przedsięwzięć do podjęcia lub kontynuowania aktywności, świadczącej przecież o przywiązaniu do Małej Ojczyzny. Żeby nikt nie porównał nas do sroki, która tylko chwali swój ogon, powiedzmy, iż spodziewaliśmy się iż wystawę zwiedzi więcej osób, zwłaszcza klas szkolnych. Żałujemy, że z zaplanowanych imprez nie doszedł 20 września do skutku rowerowy rajd Szlakiem Świątyń Jadwiżańskich (tutaj „pomogła"

Wyrusza wycieczka tropami joanitów

niesprzyjająca pogoda). Jak zwykle mamy pretensje do siebie o zbyt wąskie rozpropagowanie opisanych przedsięwzięć.

Roman Gorzkowski

Czarny Krzysztof z Olszanicy, cz. 2

Olszanica, miejsce badań archeologicznych. Fot. A. Olejniczak

Popularna legenda opowiadała, że Krzysztofa schwytali złotoryjscy mieszczanie w Olszanicy.

Dzbanek cynowy. Fot. M. Łesiuk

Miejsce jego pojmania znane było dobrze mieszkańcom naszego regionu. Tradycja ustna umiejscowiała zamek Krzysztofa zwany *Raubschloss*, czyli zbójecki zamek, na bagnistym i podmokłym obszarze pomiędzy stawem młyńskim (*Mühlteiche*) na wschodzie, a tzw. stawem kucharskim (*Kochteiche*) na zachodzie. Według ustnych przekazów zamek miał wznosić się na dębowych palach, wykonany był z drewna i otoczony wałami. Od południa wiódł do niego most zwodzony, do którego prowadziła ukryta w lesie brukowana droga. Ponoć w roku 1921 jeden z rolników wyorał jej pozostałości.

W świetle *Kroniki Wrocławia* Klosego, pochwycenie Czarnego Krzysztofa było bardziej prozaiczne aniżeli przekazała to legenda. Otóż Anton – kompan Krzysztofa, zeznał, że w stajni, w Olszanicy Melchior Zedlitz miał luźnego konia. Kiedy Czarny Krzysztof przyprowadził tam swojego wierzchowca, został schwytany przez mieszczan złotoryjskich. Możemy się tylko domyślać, w jaki sposób złotoryjanie dowiedzieli się, że akurat tego dnia (25 września 1512 roku) Czarny Krzysztof przybędzie do Olszanicy. Nie wykluczone, że jego zbójeckie eskapady miały określony harmonogram, o którym informował lokalną szlachtę, która zawsze trzymała w odwodzie rumaka na zmianę.

Z *Kroniki Bolesławca*, z końca XVI w. dowiadujemy się, że „jego siedziba jest całkiem spustoszona, a jego pola posiada w tej chwili pewien chłop…".

W *Opisie Śląska* Zimmermana z końca XVIII w. dowiadujemy się, że do Dolnej Olszanicy należy *Tschetschkenau*, i to właśnie tu był folwark (sic!) zbudowany w 1506 roku przez Czarnego Krzysztofa.

Sammter w *Kronice Legnicy* z 2 poł. XIX w. podaje informację, że pałac w Olszanicy (ma tu na myśli dolną część wsi) nazywał się dawniej *Tschetschkendorf* i żaden ślad już po nim nie istnieje.

W roku 2003, 491 lat po pojmaniu największego śląskiego rycerza-rabusia, dokonano ciekawego odkrycia. Podczas prac ziemnych związanych z budową stawu natrafiono na fragmenty naczyń glinianych oraz dębowe pale tkwiące głęboko w ziemi. Zostałem poinformowany przez wykonawcę robót o tym fakcie i niedługo później rozpoczęto w Olszanicy archeologiczne badania ratownicze, w których uczestniczyli młodzi mieszkańcy wsi.

Pomimo ograniczonego charakteru prac wyniki przeszły moje oczekiwania. Odkryliśmy kilkadziesiąt całych, bądź prawie całych naczyń glinianych, w tym: garnki, dzban, trójnóżki (dawne patelnie), kubki, małe naczynko, kufel o brzegach kształtowanych w rodzaj pięciolistnej koniczynki. Oprócz naczyń udało się wykopać trzy żeleźce toporów, srebrny pierścień, ozdobę pasa rycerskiego, a także cynowy dzbanek, tzw. *Hansekanne*, jeden z niewielu odkrytych do tej pory na terenie Polski. Dodatkowo pozyskaliśmy

Protokamionkowy kufel. Fot. M. Łesiuk

fragmenty skórzanych butów, opaskę na nadgarstek oraz fragment drewnianego talerza.

Wszystkie wymienione powyżej zabytki przetrwały w tak dobrym stanie, ze względu na to, że zalegały w wilgotnym środowisku.

Udało się częściowo rozpoznać konstrukcję architektoniczną odkrytych pozostałości. Najprawdopodobniej odkopaliśmy kuchnię, względnie salę jadalną, wybudowaną w technice szachulcowej, inaczej mówiąc- budynek wybudowany był z pruskiego muru. Budynek posadowiony był na drewnianych palach, z czego można wnosić, że kuchnia (sala jadalna) częściowo wznosiła się nad fosą (w tym przypadku utworzoną przez płynącą rzeczkę), która z dwóch stron otaczała niewielką wysepkę, na której być może stała tzw. wieża mieszkalna. Podobne istniejące do tej pory założenie znajduje się w Witkowie k. Szprotawy, czy też w Siedlęcinie k. Jeleniej Góry.

Pozostałości budynku posiadały ewidentne ślady pożaru – przepalona glina, zwęglone belki konstrukcyjne. Prawdopodobnie budynek osiadł w fosie w wyniku działania ognia. Od razu nasuwa się skojarzenie z legendą, która opowiadała o pojmaniu Czarnego Krzysztofa.

Jedno, co możemy powiedzieć z pewnością, to bezsporny fakt, że odkryto pozostałości zabudowań dworskich z okresu późnego średniowiecza. Część naczyń wykonana jest w technice XIV-wiecznej, ale lwia część ceramiki naczyniowej to okazy, które archeolodzy opisują jako znaleziska z końca XV stulecia, a w szczególności trójnóżki oraz niewielkie kubki do picia. Także cynowy dzbanek *Hansekanne* możemy datować na XV wiek. Podobnie rzecz ma się z pozostałościami przysadzistych dzbanów, niemal identycznych jak ten, w którym odkryto skarb z Grodźca pochodzący z początku XVI wieku.

Czy odkopano w Olszanicy pozostałości dworu, w którym schwytano Czarnego Krzysztofa? Tego nie wiemy ze stuprocentową pewnością. Jesteśmy dopiero na początku poznawania przeszłości olszanickiego dworu i największego śląskiego rycerza-rabusia.

Mariusz Łesiuk

Archeolog Mariusz Łesiuk jest właścicielem firmy archeologicznej prowadzącej nadzory i badania archeologiczne. W roku 2003 i 2005 przeprowadził badania wykopaliskowe na dworze Czarnego Krzysztofa w Olszanicy, o których pisał m.in. *National Geographic*. Pro Archaeologia Pracownia Archeologiczno-Konserwatorska, www.proarcheo.pl, tel. 0510 047 174.

Kącik starej widokówki

Kafejek (nie grzybków) dawnych czar

J. Stannek's Conditorei u. Café, Goldberg i. Schles. gegr. 1894. Fernruf 138

Siedzimy tutaj w cukierni i jemy bitą śmietanę. Wszystko nam wspaniale smakuje – pisali nadawcy jednej z prezentowanych widokówek. Obie pochodzą z pierwszej połowy ubiegłego stulecia, zapraszając nas do dwóch z wielu ówczesnych kawiarni-cukierni-restauracji. Ta pod patronatem cesarza Wilhelma istniała u wylotu ul. Solnej, czyli tam, gdzie dzisiaj „Wena", a druga, której właścicielem był Stannek, funkcjonowała w Rynku lub przy ul. Wilczej(dziś Bohaterów Getta Warszawskiego).

Takich miejsc, do których przyjemnie było wpaść złotoryjanom i turystom, było wtedy około dwudziestu. Dlaczego

Innenansicht Kaiser Wilhelm Café Goldberg i. Schl.

dzisiaj mielibyśmy być gorsi? A czy coś złego stałoby się, gdyby w działających już kawiarniach można było kupić złotoryjskie widokówki i na miejscu przesłać pozdrowienia znajomym czy rodzinie?

Roman Gorzkowski

Nieistniejący już zajazd przy stacji kolejowej w Złotoryi

Para buch, koła w ruch!

Od dwóch miesięcy szykujemy się do niespotykanego od lat wydarzenia. Wielu z nas zamierza pojawić się 14 grudnia na stacji kolejowej, aby zobaczyć, dotknąć a nawet wsiąść do „nie byle jakiego" pociągu, który zawiezie nas bez przesiadki do samej stolicy Dolnego Śląska. Taka podróż bez konieczności przesiadania się w Legnicy, zdarzyła się po wojnie tylko raz – w 1983 r., gdy uruchomiono specjalny pociąg z okazji wizyty Jana Pawła II we Wrocławiu.

A jak to wszystko się zaczęło? Przedstawmy niektóre fakty, dotyczące żelaznych szlaków łączących nasze miasto ze światem. Nie mamy ambicji wyczerpania tematu i jak zwykle prosimy Czytelników o uzupełnienia i ewentualne sprostowania.

W 1866 r. ministerstwo handlu i gospodarki powołało specjalny komitet do prac nad zaprojektowaniem i budową połączeń kolejowych z Zittau przez Gryfów, Lwówek i Złotoryję do Legnicy. W 1871 r. określono koszty tego przedsięwzięcia na 300 000 marek, ale prace posuwały się bardzo powoli a nawet miasto zwątpiło w ich powodzenie. W 1878 r. ministerstwo przystąpiło również do opracowania koncepcji połączenia kolejowego ze Złotoryi do Jawora, lecz nie nadało tej idei priorytetu. Dwa lata później, gdy latem 1880 r. wreszcie ruszyły prace nad koleją „legnicką", było już wiadomo, że część kosztów muszą ponieść miasta leżące na jej trasie: konkretnie powiat złotoryjski-114 000 marek. Miasto zobowiązało się do przygotowania własnym kosztem podłoża i wpłacenia kwoty 4000 marek za jeden kilometr fragmentu odcinka biegnącego przez powiat.

Specjalistyczne prace rozpoczęły się w styczniu 1883 r., w maju 1884 r. położono szyny na odcinku Zdroju, potem spacer na Wilczą Górę i przez miasto a na zakończenie odjazd z „Góry Mieszczańskiej".

Linię kolejową ze Złotoryi do Świerzawy otwarto dokładnie 16 sierpnia 1895 r. Od maja 1896 r. można było podróżować koleją z Jerzmanic Zdroju do Lwówka a od sierpnia 1896 r. ze Świerzawy do Marciszowa. 15 września 1906 r. odjechał pierwszy pociąg ze Złotoryi do Chojnowa. Gdzieś w końcu XIX wieku wydarzyła się w pobliżu miasta być może pierwsza kolejowa katastrofa – prezentujemy tutaj kilka unikalnych zdjęć. Połączenia z Jaworem nie udało się zrealizować, choć wracano do tego pomysłu jeszcze w 1934 r. – koszty okazały się zbyt wysokie dla dwóch powiatów, które miały go po części sfinansować.

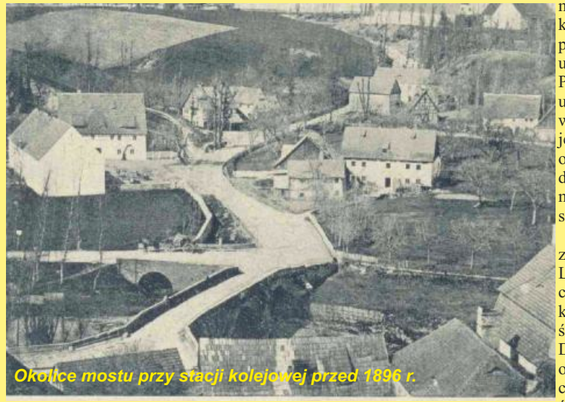

Okolice mostu przy stacji kolejowej przed 1896 r.

Według rozkładu jazdy z 1911 r., ze Złotoryi do Legnicy odjeżdżało codziennie 10 pociągów, którym ta podróż zabierała średnio 43 minuty. Do Świerzawy osiem pociągów co dnia jechało średnio 32 minuty, do Chojnowa pięć składów docierało codziennie po 45 minutach. W 1939 r. do Legnicy odjeżdżało codziennie tylko 5 składów osobowych, ale jechały tylko średnio 36 minut, do Chojnowa trzy(średnio 37 minut). 11 lutego 1945 r. wysadzono w powietrze most „żelazny" na trasie do Jerzmanic Zdroju. Według posiadanych przez nas relacji, Niemcy zdążyli przed wojną zelektryfikowaćlinię kolejową z Legnicy do Złotoryi. Trakcję zniszczyli Rosjanie zaraz po 1945 r.

Katastrofa kolejowa pod koniec XIX w.

W dniu 8 czerwca 1946 r. pierwszy powojenny złotoryjski zawiadowca stacji o nazwisku Jaskulski tak pisał do tutejszego Pełnomocnika Rządu(czyli późniejszego Starosty): *Pierwszy próbny pociąg w składzie 16 wagonów przybył z Lignicy*[ówczesna nazwa – przyp. RG] *do Złotorii*[do 1946 r. nazwa miasta brzmiała Złotoria – przyp. RG] *dnia 24 XI 1945 r. godz. 15.20 i odszedł z powrotem do Lignicy o godz. 17.30, poczem wysyłano tylko niezbędne transporty pojedyncze z repatriantami do Złotorii. Po przybyciu i objęciu kierownictwa stacji dnia 16.I. 1946 r. przystąpiono do uruchomienia na razie jednej pary poc. osob. dla przewozu osób i bagażu do Lignicy i z powrotem.*[…] *Obecnie z powodu bardzo trudnych warunków aprowizacyjnych*[zaopatrzeniowych – przyp. RG] *oraz szalona drożyzna jaka istnieje w tut. miejscowości hamuje pracę umysłową i fizyczną u pracowników kolejowych. Pożądanym byłoby aby Władze Administracyjne przystąpiły do walki z paskarstwem*[nieuczciwy i nielegalny handel towarami, których brakuje na rynku – przyp. RG], *oraz przyznanie miejskich kart żywnościowych dla pracowników kolejowych i ich rodzin bowiem obecny stan aprowizacji pracowników kolejowych pozostawia wiele do życzenia. Szybszy postęp w pracy może być osiągnięty przez zaspokojenie głodu u wszystkich obywateli pracy na P.K.P.* Most „żelazny" odbudowano w 1947 r. a 18 maja 1952 r. uruchomiono linię kolejową z Jerzmanic Zdroju do kopalni „Lena" w Wilkowie. Do 1957 r. tą trasą o bardzo dużym nachyleniu torów kursowało na „Lenę" pięć pociągów osobowych dziennie. Jeździło się jednak tędy do pracy często niepunktualnie i źle ogrzewanymi wagonami. Z powrotem transportowano urobek do huty miedzi w Legnicy. Jakiś czas po wojnie funkcjonował również przystanek przy ul. Chojnowskiej, od Kozowa do Złotoryi oraz uroczyście wmurowano kamień węgielny pod budynek naszego dworca. 12 października 1884 r. prawie całe miasto zebrało się na stacji. Były władze i miejska kapela. Okolicznościowo udekorowany pociąg z Legnicy wjechał na dworzec o godzinie pierwszej po południu. Burmistrz Kamcke w specjalnej mowie powitał przyjezdnych a potem uroczysty pochód wszystkich zebranych, prowadzony przez kapelę, udał się na przyjęcie i zabawę do hotelu „Trzy góry" w Rynku. Regularny ruch pasażerski rozpoczął się 15 października. Rok później nastąpiła rozbudowa stacji kolejowej a zaraz w jej pobliżu powstała, co nie może nas dziwić, „Gospoda przy kolei"(Gasthof zur Eisenbahn). Nie miała ona jednak zbyt wielu gości, którzy przeważnie woleli udawać się zaraz, np. czekającymi przy dworcu dorożkami, do centrum miasta. Uruchomiono również przystanek przy ul. Chojnowskiej, zwany „Góra Mieszczańska"(Bürgerberg). Miał bardzo również ważne znaczenie turystyczne – stąd często wędrowano najpierw na szczyt Góry Mieszczańskiej(nad basenem), gdzie funkcjonowała bardzo popularna gospoda, potem do miasta a stamtąd np. na Wilczą Górę czy do uzdrowiska w Jerzmanicach. Od 1895 r. możliwy był wariant odwrotny – wysiadka w Jerzmanicach

Katastrofa kolejowa pod koniec XIX w.

Pociąg na stacji kolejowej w Złotoryi (www.goldcentrum.pl)

zwany Radomil.

W 1953 r. ze Złotoryi do Legnicy odjeżdżało codziennie dziewięć pociągów osobowych i docierały tam po około 31 minutach, do Świerzawy pięć pociągów(ok. 23 minuty). Budynek stacji zawsze pozostawał oczkiem w głowie PKP oraz mediów. *Życie Złotoryi* w dniu 15 marca 1956 r. donosiło: *Poczekalnia stacji PKP w Złotoryi znajduje się w stanie godnym pożałowania. Podłoga jest tam zawsze brudna i zarzucona różnymi papierzyskami i innym śmieciem. Ściany są czarne i opajęczone. Jest to częściowo wina pasażerów, ale przede wszystkim odpowiedzialność za czystość w poczekalni ponoszą władze PKP. Czas im o tym przypomnieć.* „Za naszych czasów" było oczywiście lepiej, ale niekiedy lepiej było oczekiwać na przyjazd pociągu na peronie niż w poczekalni.

W latach 80. XX w. wydawało się, że dla PKP nadchodzą jedynie lepsze czasy. *Słowo Polskie* 5 grudnia 1988 r. pisało: *W sobotę*[3 grudnia] *przekazano do użytku nową zelektryfikowaną linię kolejową z Legnicy do Złotoryi i Krzeniowa. O godz. 9.30 dyrektor Dolnośląskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych Aleksander Marszałek przeciął wstęgę i pierwszy pociąg elektryczny wyruszył w drogę.* Rok wcześniej, jak pamiętają niektórzy z nas, zawieszono na jakiś czas w związku z pracami elektryfikacyjnymi połączenia kolejowe a PKP wprowadziły zastępczą komunikację autobusową. Według rozkładu jazdy z 1989 r., z Legnicą łączyło nas 10 pociągów dziennie(ok. 30 min.), ze Świerzawą sześć(34 min.), z Chojnowem pięć(ok. 43 min.). Jednak już od połowy 1989 r. coraz głośniej mówiono o nierentowności nie tylko zresztą tych lokalnych połączeń. We wrześniu 1989 r. zlikwidowano kursy na trasie Legnica-Złotoryja-Chojnów i pozostało nam tylko jedno połączenie z Chojnowem dziennie, którego żywot i tak dobiegł końca w 1991 r.. Na początku 1993 r. w *Gazecie Złotoryjskiej* ukazał się proroczy artykuł pod tytułem *Kiedyś, gdy jeździły pociągi*...Pisałem wówczas m.in. *Smutek panuje na złotoryjskiej stacji kolejowej. Bezpośrednio pasażer może dojechać stąd jedynie do Legnicy i Jerzmanic Zdroju. W wagonach kilku pociągów siedzi często po kilkanaście osób. Nie robią już wrażenia pociągi elektryczne...Wydaje się, że za kilka lat stacja w ogóle zostanie zamknięta...Gdy będziemy trochę starsi i ani jeden pociąg nie będzie już jechał do Jerzmanic, może sobie przypomnimy, z jaką przyjemnością, leżąc w lecie nad zalewem, spoglądaliśmy na lokomotywę i kilka wagonów sunących po „żelaznym" moście.* I stało się – ostatnie pociągi pasażerskie odjechały do Marciszowa w 1995 a do Legnicy w 1996 r.

Potem co jakiś czas odzywały się głosy władz lokalnych, turystów, Klubów Miłośników Kolei i innych organizacji społecznych aby przywrócić, odremontować, a może wykupić, znaleźć sponsora itp. itd. Obiekty stacyjne niszczały, złomiarze kradli fragmenty torów, PKP odrzucały propozycję wpisania do rejestru zabytków obiektów stacyjnych, pożary, np. w Złotoryi, trawiły wieże wodne, wandale niszczyli wiaty itd. W 2006 r. złotoryjskie Koło Terenowe PTTK zorganizowało spacer nieczynną linią kolejową do Nowej Wsi Złotoryjskiej, aby przekonać się, że szyny właściwie są jeszcze kompletne(za wyjątkiem kilkudziesięciu metrów) ale oczywiście zarośnięte.

Trzeba koniecznie przypomnieć przejazd specjalnego pociągu z Legnicy do Jerzmanic Zdroju na 150-lecie połączenie Legnica – Wrocław(1994), uruchomienie wycieczkowego pociągu retro z okazji Mistrzostw Świata w Płukaniu Złota na przełomie sierpnia i września 2000 r.(gdy w pobliżu zalewu powstał przystanek „Złotoryja 2000") oraz pojawienie się, wreszcie chyba ostatniego specjalnego osobowego pociągu elektrycznego na trasie z Legnicy do Krzeniowa w październiku 2004 r. Co dalej? Miejmy nadzieję, że przekonamy się o tym jeszcze w grudniu tegoż roku.

Roman Gorzkowski

Skład elektryczny - 2004 r. (www.ostbahn.info.de)

Warto przeczytać

Dwadzieścia lat minęło

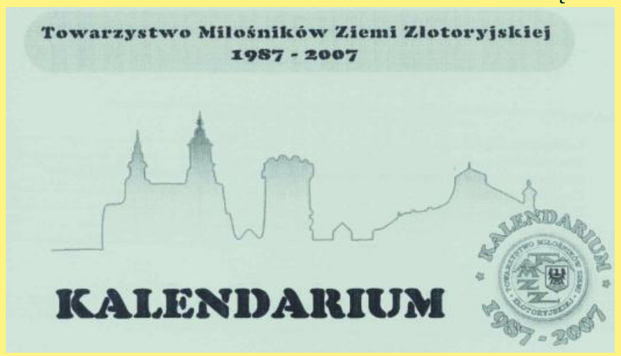

W 2007 r. TMZZ obchodziło dwudziestą rocznicę swojej działalności. Proponujemy więc nie tylko członkom tej organizacji sięgnięcie po opracowanie, które dziesięciorgu osobom zajęło dobrych kilka miesięcy. W efekcie ich pracy powstało kalendarium, ujmujące najważniejsze wydarzenia z życia TMZZ w latach 1984-2007. Data rozpoczynająca wykaz – wrzesień 1984 – nie jest przypadkowa: wtedy powstała Komisja Historyczna przy ówczesnym Referacie Oświaty i Wychowania Urzędu Miejskiego. To właśnie podczas jej posiedzeń powstała myśl założenia Towarzystwa, co nastąpiło we wrześniu 1987 r. O kolejnych faktach przeczytamy w kalendarium. Jest ono zarazem jak gdyby fragmentem kroniki miasta, o której prowadzeniu pomyślano po wojnie dopiero w 1996 r.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Budynki zmienne są

Jeden z okazalszych i w dalszym ciągu reprezentacyjnych gmachów naszego miasta wyglądał jeszcze kilkadziesiąt lat temu nieco inaczej. Prosimy Czytelników o zlokalizowanie tego budynku, informację o tym, co mieściło się w nim dawniej, a co obecnie, oraz kiedy dokonano jego powojennej przebudowy.

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

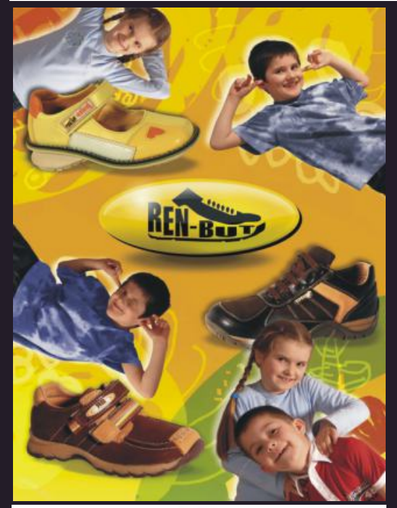

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe

STONESPOL
- płukane
- kolorowe
- posypki
- mączki

PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023